



27043

I

Mag. St. Dr.

P

Biblioteka Jagiellońska

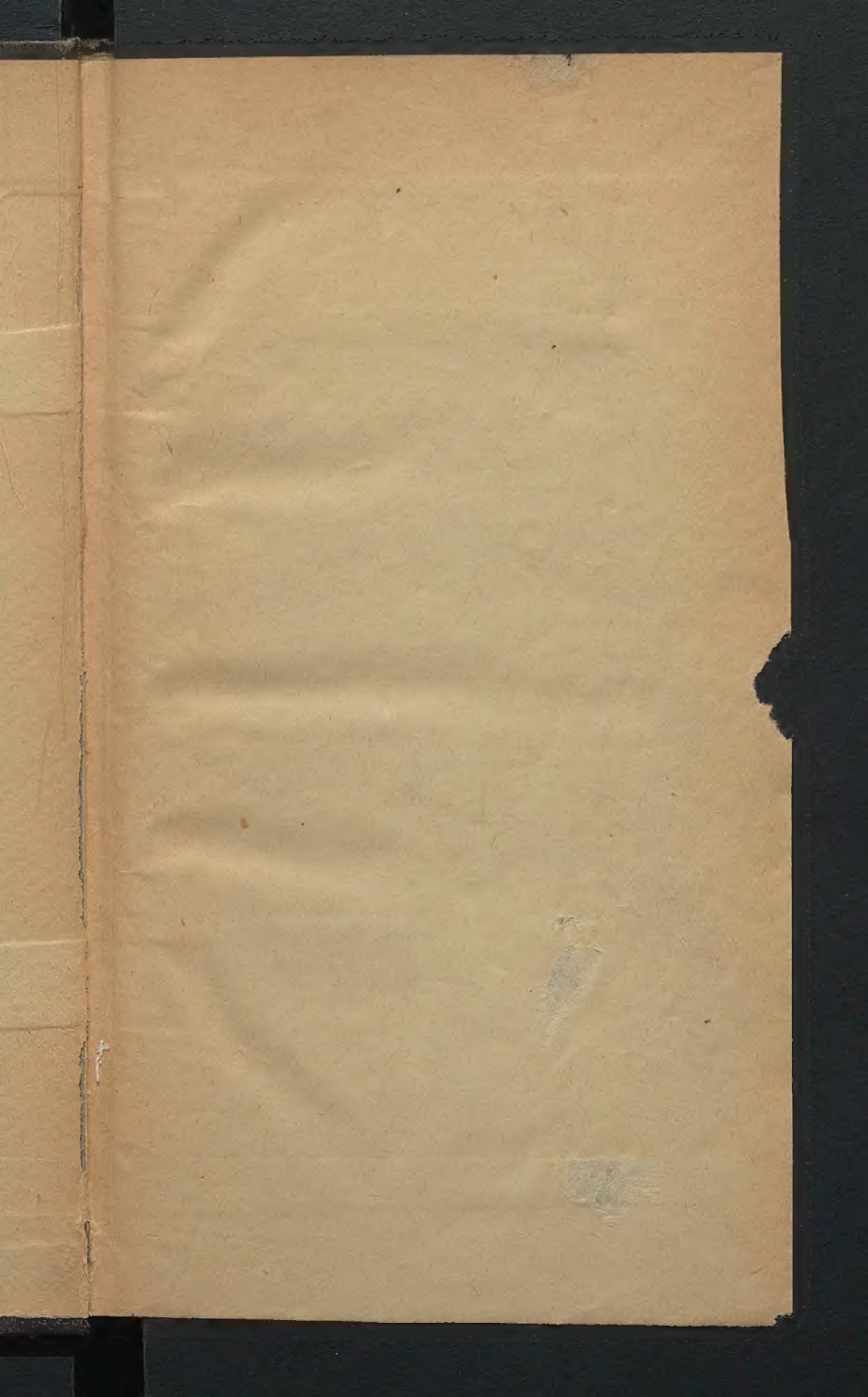


stdr0003644



27043

Mag. St. Dr.



11

E
R

ZEZ
SKU

A

W

LUDZKOSC LITUIĄCA SIĘ.

CZYLI

OBRAZ

ŁĘDZY LUDZKIEY.

TRAGI-KOMEDYA

W PIĘCIU AKTACH.

PRZEZ JOZEFĄ HR. JUNOSZĘ ZAŁUSKIEGO
SKUPA KłIOWSKIEGO KAWAL. ORD. ORŁA B.

EDYCJA DRUGA.

ZA POZWOLENIEM ZWIERZCHNOŚCI.

W WARSZAWIE ROKU 1795.

AKTOROWIE.

NĘDZARSKI *Szlachcic.*
KLARYSSA *Zona Nędzarskiego.*
MARYSIA *Córka.*
LITOSNICKA *Wdowa.*
KOCHANSKI *Starający się o przyjaciół
Marysi.*
STARUSZKIEWICZ *Ojciec Kochań-
skiego.*

Instygator.

4. Żołnierzy.

Dziecię ięczące w Alkierzu.

Scena w Kosmopolu Mieście
Sarmackim.

27043.I.





AKT I.

SCENA I.

MARYSIA i LITOSNICKA.

LITOSNICKA.

Upraszam W. M. Panny, iak o naywiększą łaskę, abyś raczyła przyiać mi te liche usługi, z któremi się oświadczam. To prawda, żeś się W. M. Panna w takim stanie rodziła, żebyś się nie powinna znajdować w potrzebie i biedzie. Jać wprawdzie uboga Wdowka pracą rąk żyjąca, ale mam pełne politowania serce; a ieżeli kiedy czułam w sobie chęć iaką poratowania w ciężkiej potrzebie, to dziś naygwałtowniey z przywiązania do osoby W. M. Panny. Jesteś W. M. Panną z natury tak łagodną, tak dobrotliwą, tak.

MARYSIA.

Moja Sasiadko serdecznie kochana! Jakże mię ta uprzejmość Waszceci obowiązuie!

Jakżebyś sobie życzyła mieć tyle zasług;
abyś iey była godną! Jakżebyś sobie wy-
czyła mieć sposob iaki zawdzięczenia...

LITOŚNICKA *żywo mówi.*

Niczego mi nie trzeba.... bez inte-
ressu służyć.... Szczególnie W. M. Pannie
służę dla ukontentowania, które czuję że iey
służę.... Ah! jeszcze W. M. Panna do-
brze nie znasz mego sposobu myślenia...

MARYSIA.

Już ci ja to widzę dobrze moja Pani,
że się intéressem nie uwodzisz; gdybyś by-
ła interessowana, to byś się nie przywiewy-
wała do naszej nieszczęśliwej Familii. Ale
iakoż rzekła, nie nam teraz nie brakuje, i
to naczynie wody, coś mi Waszeć dziś ra-
no przyniosła, jeszcze wystarcza.

LITOŚNICKA.

Bywayże zdrowa moja kochana Panien-
ko. (*sama do siebie mówi*) Tęgo od trzech
dni mroz straszny dokucza. Ta tu uboga
Familia bez opału zmarznie.... muszę się
postarać.... *odchodzi.*

MARYSIA.

Adieu moja kochana Pani.... Miłyż
Boże! i także politowanie nad cudzym nie-
szczęściem nie mieści się tylko w sercach
Ludzi ubożuchnych! Nędzarze cieszą biedę
swoję iak mogą, i sami się ratują w potrze-

bach swoich, widząc majątnych i bogaczy
na siebie niemiłosiernych! Zwierzaia się ie-
dni drugim swego niedostatku, szukając niby
jakiej z politowania ulgi; a my Szlacheckie-
go urodzenia pyszałki, iedno ambitu igrzy-
sko, który nas nie odstępuię razem z fortu-
ną, choć iuż na ostatnim mizeryi stopniu,
nie śmiemy oczu załtanować nad naszym nie-
dostatkiem!. Ale co widzę! Kochański się
powrócił z drogi. Czy ieno nie miłość go
do mnie zwabiła? Ale co ma miłość za
sprawę z biedą, z nędzą, z niedostatkiem!

SCENA II.

MARYSIA i KOCHANSKI.

KOCHANSKI.

Ah! nieszczęśliwa Marysiu! gdzież się
to tu mieścisz? Jakaż to gospoda dla za-
cnego urodzenia Panienki? Zbiegałem całe
Miało, i ledwiem się dopytał o tym kąciku.
Ah serdecznie kochana Marysiu! Trzy mie-
siące oddalenia się, czyż mie nie pozbawiły
tego, co mi iest na świecie najmilsze? Czy
mie nie zarzuciłaś w niepamięci? Czy moia
osoba ieszcze, iak była dawniey, tak i teraz
W. M. Pannie wdzięczna?

MARYSIA.

Zródło naszego wzajemnego przywiązania tak jest czyste, iak moje serce; W. M. Pana statek jest mi rękoymią iego szczerości, i byłabym iey nie godną, gdybym się z niey nie cieszyła. Ależ nie ftery! (*wzdycha.*)

KOCHANSKI.

Ale dla Boga! coż to znaczy to głębokie westchnienie? Nie odwracay W. M. Panna pięknych swych oczu od tego, który z ich weyrzenia jest szczęśliwiony. Ah! przebóg! co widzę! czytam na twarzy znaki melancholii! Oczy W. M. Panny łzami się oblewają... ięki gwałtem się dobywają z piersi. Marysiu! moja serdecznie kochana Marysiu! czyż możesz mieć co tajnego i sekretnego przed twoim duszą ziednoczonym kochankiem, który cię nadewszystko kocha? Czy możesz W. M. Panna powątpiewać o moim szczerym i statecznym przywiązaniu, i chęci służenia iey iako i całej Jey Familii?...

MARYSIA.

Bynajmniey nie wątpię.

KOCHANSKI.

Więc tedy racz mi W. M. Panna wyiawić przyczynę swoich troskliwości. Jeżeli nieodwzględę się hoyną ręką ugłaskać srogość fortuny, to przynajmniey dobra rada potrafi odciąć gorycz niedoli waszey.

M A R Y S I A .

Gdybym potrzebowała rady, znalazłabym ją u arcykochanych i kochających Rodziców. Są pełni sprawiedliwości, i mają mnie iak zrzenicę w oku. Przyznam się W. M. Panu, gdyby niedola moja była mnie samę dotykaląca, nikomubym się iey niezwierrzyła, tylko samemu W. M. Panu. Chwałę ciekawość W. M. Pana, iestem iey wdzięczna, ale nie mogę sekretu wyiawić.

K O C H A N S K I .

Ah Marysiu! i na coż się przyda, to tać, co oczy me widzą? Wiadomo mi żeście przegrali sprawę waszę, dla której tu przybyliście. Wiadomo mi, że w iedney waszey majątności ogień wszystko zagarnął znacznym pożarem, a w drugiej nagła powódź wszystko zatopiła, i dowiedziałem się o tych wszystkich przypadkach z cudzych ust, a nie z twoich Marysiu? Odstąpiliście śtancyi przyśtoyney, porządney, wymeblowaney należycie, a mieścicie się w tey mizerney chatce: ani ruchomości, ani czeladzi tu nie widzę. Y iakże się nie mam domyślać co to znaczy!... Marysiu czy szacujesz moję przyiaźń?

M A R Y S I A .

Bardziej niż kogo żyjącego po Oycu i

Matce.

KOCHANSKI.

Otoż racz sobie przypomnieć nasze wspólne przysięgi, zechciey zważyć obowiązki i prawa, które miłość kładzie na moje serce, a pomyśl co mogę uczynić dla was w te-
rażniejszych nieszczęśliwych okolicznościach waszych.

MARYSIA.

Kochasiu! wiesz o tym dobrze, że eno-ty twoje są głęboko wyryte w pamięci mo-iej. Co mówię! serce moje obecności two-iej powabem pociągnięte zapomina, żeśmy sami, i że noc się zbliża. (*chce odchodzić, ale Kochański ją przytrzymuje.*)

KOCHANSKI.

Ah czegoż się lękać możesz? Głos, weyrzenie, mowa twoja nie wzniecają we mnie tylko głęboki a uczciwy respekt.

MARYSIA.

Nie mogę się lękać tego, którego bym rada miała wszystkich moich postępów świadkiem... ale sama siebie respektować muszę. Y gdybyś mię W. M. Pan dobrze znał, i wkroś moje myśli przenikał, nie domagał-
byś się ofiary moiej w tej mierze delika-
tności.

KOCHANSKI.

Ale gdzie mój Przyjaciel. Jmć Pan Nę-
dzarSKI? gdzie poczciwości zwierciadło Kła-

ryssa? oboje nie wracają się do Domu przy
nocney porze! pod taki czas kiedy tęgi mroz
każdego przytrzymuje przy kominie i piecu!
dawniey niezwykli byli odstępować cię na
krok kochani Rodzice.

MARYSIA.

Wkrótce się wrócą, tak me serce prze-
czuwa; skoro przybędą, będzie W. M. Panu
wolno rozmawiać ze mną w ich przytomno-
ści, a mnie wolno słuchać iego rozmowy.

KOCHANSKI.

Słucham tedy rozkazu..... Ale iakieś
stękania słysze w tey bliskiey izdebce?

MARYSIA.

Są to ięki mego Braciszka, choruje od
sześciu dni, i ja go doglądam.

KOCHANSKI.

Niechże uściskam i ucałuję to piękne
dziecie.

MARYSIA.

Y także mię szukasz zasmucać? Alboż
W. M. Pan sądzisz, że nie dość sobie czy-
nię gwałtu i ciężkości w naleganiu o rozstanie
się! Powrócisz W. M. Pan po chwili, i przy-
witasz całą naszą Familią, która W. M. Pana
szczerze kocha, i których dolegliwości wzbu-
dza w sercu W. M. Pana dotkliwość.

KOCHANSKI.

Już te dy muszę odejść. Adieu. Tak mię martwi odstąpić was w niedoli waszey, żebym chętnie czekał na Oycę W. M. Panny u drzwi, nie uważając na zimno, gdyby mię nie pociągała powinność przywitania kochanego Oycę mego, któregom ieszcze nog od powrotu nie- uściskał.

S C E N A III.

Sama MARYSIA.

MARYSIA.

Oddalać Kochańka od siebie dla uczciwości, iest to ciężki i gwałtowny płci moiey obowiązek. Ale coż dopiero tać mu stań nieszczęśliwy, który serce moie trapi i dręczy? Sekretem pokryć niemilosierne ubóstwo i niedostatek, dla którego przyidzie mi go postradać na zawsze! Co mówię! dla wstydu pogrążyć i zostawić w ostatnim upadku serdecznie kochanych Rodziców..... Mocny Boże! niewiem w którą stronę się obrócić... Ah! iakież smutne przeczuwanie moich rozpacz! Gdyby był nalegał moy Kochanek ieszcze moment iaki, byłabym mu wszystkę tajemnicę wyiawiła, a tak pierwszy raz w życiu stałabym się Oycu kochanemu nie posłu-

szną, Oycu tak dobrotliwemu.. tak kochanemu.... tak czci, poszanowania i posłuszeństwa godnemu!... Ah! podobno już do tego przyjdzie, że odkryję Kochankowi memu i Przyjacielowi naszą niedolę i nasz niedostatek! Ani wątpie, że już daley Oyciec nie rzecze, że to iest przedawać Córkę, wydawać ją na sztych dobrodzieystwom i hoynościom młodzika, właśnie iak gdyby się dobroczynność mogła mieścić z podłością w iednym sercu; a ieszcze w sercu Jmć Pana Kochańskiego. Ah! gdybym takie miała mniemanie o Rodzicu moim, iakżebyim była nader nieszczęśliwą!

SCENA IV.

KLARYSSA i MARYSIA.

KLARYSSA.

Ah! moja kochana Córko!

MARYSIA.

Ah! moja serdecznie kochana Matulenku!

KLARYSSA.

Ah dla Boga! iakżeś mi się to zmieniła! ah iakżes zbladła! Na cożby mi się przydało daley o tym milczeć! serce mam ściśnione widząc cię tak znędzniałą! Jakże się ma twoy Braciszek? słabość iego wieku i gó-

re biorąca choroba wymaga pilniejszego niż koło ciebie starania, ale was zarówno i nierozdzielnie w sercu moim mieszczę. (*całuje ją*)

MARYSIA.

Gdybyś wiedziała serdecznie kochana Matko! co wycierpiało to głodem zemdlone dziecię! wszystkie jego myśli dążyły ku tobie Matuleńku! sto razy powtarzał te słowa: Ah! kochana serdecznie Matusia fatyguie się dla mnie! poszła zebrać u krewnych, i wyprosić dla mnie posiłek... Ah! iakże mi Jey żał! Nieochybnie iak powróci do domu będzie zemdlona z podjętej dla mnie fatygi. Przecież znać przy tak zimnej porze, a to wszystko dla mnie, którym się w niczym nie zasłużył dla niej!.. Ale się bardzo lękam, żeby ten posiłek nie był opóźniony, już to pono będzie po czasie.

KLARYSSA.

Ah miły Boże! nie wyżebrałam żadnego dla kochanego dziecięcia posiłku! Będę go lcałowała, ściśkała, do serca przytulała, łzami oblewała, bo inszego dla niego nie mam pokarmu i napoiu!

MARYSIA.

Ah przebog! co się dzieie! wczoraj nam na wszystkim nie zbywało, a teraz nadzieja pełźnie nawet w przyszłe czasy!..

KLARYSSA.

Opowiem ci wszystko... Wybiy
sobie Córkę okropne myśli z głowy... Ale
i sama czuję wielkie i sobie pomieszanie...
Radabym, żeby zaczęło świtać, zamiast że
ciężnie zniechęca... Naywiększe nieszczęścia, ia-
ko i naywiększe zbrodnie zwykle przypadają
pod nocną porę. (*Bieży do Syna.*)

MARYSIA.

I takżeto wszyscy pomrzemy głodem!
rodzajem śmierci tak podłym!... A za coż
podłym? a iakże nazwać przyjdzie śmierć
z lubieżnych zbytków, czyli z wielkich zbro-
dni zaciągniłą? Owoż ostatni szczątek zna-
czney fortuny (którey nieprzyjaźni Oycu
memu zazdrościli:) kilka węgli w popiele,
do których już nie mam co przyłożyć z dre-
wek.... Lampa dogorywająca bez oliwy
swym cieniem przymnaża okropności... Tro-
ski Matki kochaney, ięki kochanego Braci-
szka... smutne przeczucie moich rozpaczy..
Ah! ta dogorywająca lampa czyż to nie po-
chodnia przyszłych naszych pogrzebów! Ah!
Boże miłosierny!.. odwróć odemnie te my-
śli trapiące i troskliwe... Niech się wcale
zgadzam z Twą wolą świętą!

KLARYSSA.

Moy mąż czy nie posłał tu od same-
go rana?

MARYSIA.

Nie posłał Matuleńku.

KLARYSSA.

Y gdzież się bawi przebóg!

MARYSIA.

Wychodząc rzekł do nas te słowa: wszelkiemi sposobami poydę starać się o ratunek w naszym ciężkim niedostatku... Coś nawet przebąkiwał, że się nakłoni na czyn jakiś podły, aby nas wydzwignął z tej toni, pod ten czas zimney pory i tegich mrozów.. Jakże ciężka rzecz co uprosić od tych, którzy biedy nie znają, i niczego nie potrzebują!

KLARYSSA.

Z własnego doświadczenia wszelką tracę nadzieję. Noc ciemna i okropna, a mąż mój nie przyspiesza powrotu, aby swym obliczem rozweselił w smutku i ostateczney rozpaczey będącą Familią. Ah! dla Boga! coby było z nami! gdyby zrażony nieużytością ludzi zakamiątych miał nas odstąpić, a wcale odstąpić w tym niedostatku!

MARYSIA.

Ah Matuleńku! wybiły sobie tę myśl z głowy, masz serce jego w rękach.

KLARYSSA.

Gdyby (ubroń Boże) rozum pod ciężarem nieszczęśliwości upadł.... Wielki smutek w waryacyą wprawia... Tyle Filozofów

zachwalaia samoboystwo!... Tyle widzimy przykłaadow, tyle czytamy podobnych przypadków...

MARYSIA.

Nie lę kay się tego Matuleńku... Oto przybywa do nas.

SCENA V.

NĘDZARSKI, KLARYSSA MARYSIA.

KLARYSSA.

Kochany mężu! i ktoż cię tak długo przytrzymał?

NĘDZARSKI.

Opowiem ci, skoro dziecię uściśkam i ucałuję.

KLARYSSA.

Jak sądzisz Córkę? czy z próżnemi rękami powrócić?

MARYSIA.

Prawdziwie nie uważałam rąk, ałem tylko patrzała na oczy jego pełne miłości i dobroci, tak właśnie jak twoie, kochana Matuleńku.

NĘDZARSKI.

Wpośrzed nich stanąwszy, i raz na żonę drugą raz na Córkę poglądając.

Słuchaycie najmilsze Przyjaciołki! spieszyłem się do was z powrotem, aliści widzę człeka na ziemię upadłego w samym rynku... Poznałem go, że to był ow główny nieprzyjaciół mój, który mię fałszywym udaniem i potwarzami zruynował w kredycie u Dworu, co było pierwszym nieszczęśliwości moich zadatków. Zdrętwiał był z tego zimna, i ledwie dyszał. To widząc, iż wszyscy go milają i unikają, lubo sam przeięty mrozem, jedną ręką dzwigam go z ziemi, a drugą odwracam wozy i karęty, któreby go były roztratowały. Biorę go na ramiona, i niosę go do Kowala blisko mieszkającego, a bym go przy ogniu w kuźni mógł rozgrzać i ożywić.

MARYSIA.

Po tym uczynku poznaię miłosiernego mego Ojca.

KLARYSSA (razem)

Po tym uczynku domyślam się miłosiernego mego męża. Taką cnotą tak może serce rospalas, że chociaż tak nieszczęśliwy między wszystkimi żyjącymi, obrałbym cię sobie za oblubienicę, gdybyś już nie był moim mężem. O! jakże mię ta twoja cnota wysoka w zadumienie wprowadza! Ale iakż fatalność tyrańska losów życia? Twój prześladowca znajduje w twojej osobie dobrotli-

brotliwego przyjaciela, a w ten sam czas
tвой syn niewinny... твой syn umiera z zi-
mna i głodu.

NĘDZARSKI.

Kochana żono, co mówisz? Alboż
moje dzieci nie uśmierzyły głodu, srogięgo
chlebem; po których chodziła do twych da-
wnych przyjaciółek?

KLARYSSA.

Zwierzyłam się pod sekretem Xiędzu
Plebanowi niedoli naszej, zebrząc, żeby mię
zaratował z kassy ubogich Parafianow, ale
mi się wyexkuzował naciskiem ubogich za-
cnych familiy, dla których się w podziale
wyprożniła... Tyko mię ubolewaniem zbyt
i obietnicami.

NĘDZARSKI.

To mi nie dziwno; daleyże.

KLARYSSA.

Potym nawiedziłam owę Panią bogatą,
co się oświadczała ku mnie z swoją przyja-
źnią, kiedyśmy były z sobą w Klasztorze
Panien Wizytek, i potym kiedyśm opływa-
ła w szczęściu i dostatku.

NĘDZARSKI.

Y coż? czyś opowiedziała iey nasz
stan? serce iey czy się nakloniło?..

B.

KLARYSSA.

Rzekła mi: wszystkiemu temu wierzę, co mi powiadasz, i jeszcze się więcej o przykrości nieszczęścia waszego domyślam. Miałabym chęć nieskończoną was podzwignąć. Jakże to chwalebny jest czyn podać rękę upadłemu! Ale czasy terazniejsze ciężkie, i haniebna drożyzna niepozwalaia...

NĘDZAŃSKI.

Y także Boże! który się mianujesz ubogich Oycem, masz o nich staranie?

KLARYSSA.

Ah mężu! co czynisz? Nie tak się lekay nas postradania głodem, iako utracenia łaski Boga złorzeczeniem. Bóg wszystkowiedny surowo karze szemrania choć w rozpaczcy wybluźnione. Ale ty mężu (nieszczęśliwy Oycze) czyś nigdzie nie znalazł wnętrzości i serca do politowania nakłonionych?

NĘDZAŃSKI.

Jużem wszystkie utracił nadzieje. Wiedzisz mię opuszczonego od przyjaciół, wzgardzonego od współkonkurrentów do wszelkiego urzędu, bez żadnego wcale sposobu i projektu. Nie mam już nic do przedania tylko tę podłą sukmanę, która mię okryć ledwie potrafi, nie żeby miała ogrzać. Szabla moja ostatni zaszczyt ubogiego Szache-

Gwa, załatwna u Lichwiarza, poszła dwa dni temu na posiłek ostatniego niuzernego obiadu naszego.

KLARYSSA.

Bez żadnego sposobu! bez żadnego projektu!

MARYSIA.

A owa piękna Pani, którey córki, Matuleńku, w nankach kształcisz sekretnie, ponieważ jest Matką, niepodobna żeby nie miała mieć wnetrżności macierzyńskich.

KLARYSSA.

Byłam u niey dzisiaj o zwykłej godzinie. Po skończoney lekeyi, pozwoliłam sobie szczególney nieszczęśliwych osob folgi, i opisując moy łtan nieszczęśliwy rozpłakałam się rzewliwie. Niestety! Niespodziewałam się, aby ten postępek miał być w oczach czyich zbrodnią!

NĘDZARSKI.

Co słyszę zbrodnią? miłyż Boże! Krolewiczowie i bogaczów synowie powinni by Ludzi nieszczęśliwościami obarczonych przyimować za Metrów, a nie podłych zausznicków, którzy ich dobre serce psują. Pod takimi Mentorami stałiby się ludzkiemi, hoynemi, litościwemi.

KLARYSSA.

Z tym wszystkim owa Dama nachylo-
na w poręczowym krześle, upiżmowana, wy-
blechowana, umalowana i wypiękrzona, iak
Komedyancka iaka, zacznie miotać na mnie
wszystkie te pospolite wyrzuty, których o-
soby zbogacone przez podłość serca zwykły
nie oszczędzać względem upośledzonego w
fortanie. Rzekła mi głupie i zuchwale: że
iey dzieci nie są takie kondycyi, żeby mia-
ły znać ubogich, i poznawać skutki ubó-
stwa: że nic nie masz podlejszego, iak nad
taką zaftanawiać się mizeryą, że takie zało-
śne skwierki i utyskiwania, któremi iey dzie-
ci bawię, na nic się nie zdadzą, chyba że-
by we śnie marzyło im się o biedzie i nę-
dzy: że ich stan nie pozwala im być tak
ludzkimi, iak ieft lud gminny i pospolity.
Te usłyszawszy wyrzuty, zaczęła prze-
praszać, a oraz prosić o kwartał pieniędzy.
Ona nic nie słuchając, ze śmiechem skoczy
pędem, skoro uyrzy wchodzącego do izby
kawalera, tak przepyszuie iak i ona wystro-
ionego, a ten kawaler byłto twoy syno-
wiec iedynak.

NĘDZARSKI.

Czy uwierzysz temu kochana żono? że
na stronę uchyliwszy wszelką urazę, nawie-
dziłem iego Oyca, starszego mego Brata,

(ourodnego Brata) największego mego prześladowcę ! przez zazdrość , którą w sercu jego dzikim wznieciły Matki naszej dla mnie preferencye.

KLARYSSA.

A gdzieżes mój mężu mógł zaśląć tego , który ugęszcza do pałaców Panów majątnych ? do których nędzarz nie ma przyępu.

NĘDZARSKI.

W jego własnych progach przyszło mi się upokorzyć. Po trzygodzinney sioyce i przeczekaniu na audyencyą , upatruię go z antykamery wychodzącego z bogatych gmachow , z czołem w górę wyniesionym ; skoro mię uyrzał , wzdrygnął się z gniewu , i wskoczył do karety , wołając na woźnicę od siebie uczynnieyszego , aby konie zacinał ; i tak mię zostawił ze wstydem wpośrzed podłych sług swoich bogato przybranych.

KLARYSSA.

Ah ! iuż też to ostatni szczątek sromoty !

MARYSIA.

Nie dość , że nas opuszczaia , ale się z nas ieszcze uragaia !

NĘDZARSKI.

Y coż poczniemy pod tę porę nocy okropney ?

KLARYSSA.

Już nam drewno nie stało na ogrzanie
zemdlonych członków.

NĘDZARSKI.

Czyż można będzie oko zawrzeć przy
tym chłodzie i głodzie! głód, pragnienie,
wstyd, rozpacz, zimno, strach, ięki dzie-
cięcia...

MARYSIA.

O kochani Rodzice! na iakiż przychodzi-
cie koniec! i cożście mieli za przyczynę nie
dopuszczać mi, żebym was pracą rąk moich
żywiła? Nie masz wstydu dorabiać się chle-
ba dla tych, do których kochania i natura
sama i wdzięczność pociąga. Niestety! wy-
chowaliście mię, jako pupczkę iaką w pie-
szczotach, a ta się na nic nie przyda. Te-
raz z głodu giniecie, a iabym była mogła was
zachować pracą rąk moich. Zazdrościliście
mi chwały i chluby, którąbym była miała
zatrzymując przy życiu tych, którzy mi ży-
cie dają.

KLARYSSA.

Zaniechaj już tego narzekania, nie czyń
się jeszcze kochańszą sercu memu przez ta-
kie wymowki pod ten czas, kiedy mi cię u-
tracać przychodzi.

NĘDŻARSKI.

Słuchay Marysiu: icieś młoda, a mo-
gę przydać, w tey niedoli, która nic nie po-
zwala chlubić... icieś i młoda i piękną. Te
przymioty przy szczęściu i fortunie nie są
niebezpiecznymi. Głupi respekt, który zwy-
kle mają ludzie na bogactwa, rozrywki usta-
wiczne, wykwintność w słrojach, staia się prze-
szkodą zdradzie kawalerów w zdeboszowaniu
panienek. Ale czym się oprze wyuzdaney
młokosków swywoli panienka ubożuchna, któ-
ra mając wstyd na czele, a łzy w oczach
szuka kupca na pracę rąk swoich? O Mary-
siu, Marysiu! wiedz o tym, że znayduia się
ludzie tak bezecni i bezbożni, co nie mogą
urzeć krasney urody w nędzy i niedostatku,
aby zaraz nie mieli zapalać się lubieżnemi żą-
dzami w sercu.

MARYSLA.

Ah! iacyż to ludzie lekkomyślni!

NĘDŻARSKI.

Ponieważ ludzie zbogaceni zdzierstwami
swych przodków, ludzie nie znaiący inszego
chuci hamulca, tylko zamiar ich władzy,
miało prawa rygору doznowaiący codzieln
skutku niekarności, zwykle za kredytem i-
dący, są to wyuzdani na wszystko złe de-
bosznicy, zwykli łączyć wespół w imagina-
cyi zepsowaney, nieszczęśliwość nędznego

stanu Szlachcica z podłością urodzenia lub życia występnego; a co niecznośniejusza, mają sobie ubogie osoby za hołdownicze swym przemierzłym i niegodziwym uciechom... Ah iakże mi żal zem się tu sprowadził do tej stolicy! gdzie zbytki górę wzięły nad cnotą, gdzie ludzie na kolana padają przed nową modą, gdzie zacność i godność przy chudobie stał się niktzemnym igrzyskiem, i dzieci przy piersiach cackiem. Ah! iakżem pobłądził! Zdawało mi się że mi tu uydzie, wzgardzać złotem dla cnoty, fałszywą polityką dla uczciwości obyczajów, obcowaniem z Panami dla prostej, i spokojnej przyjaźni! Zginałem dla zbytniego bezpieczeństwa, i dla statecznego uporu! który gardziłem ślepą fortuną i iey nieuczciwemi drożkami... Zginałem nie rozważając rozmyślnie przepaści, w którą mię prowadziła ścisła cnota. Miłyż Boże! człowiek który się nie rodził na to, żeby się mostem stał przed ludźmi niktzemnymi, bywa czasem przymuszony do tej serca podłości, a jeszcze powątpiewa o swojej niedoli.

KLARYSSA

Gdybyż przynajmniej nas nawiedził ow pocziwy Pan Staruszkiewicz hojny i litościwy! co ongi nas obdarzył, a w cieniu nocnej pory zataił i imię i szczodrotę swoją.

MARYSIA.

Pan Kochański w przedsięwzięciu swego ku mnie przywiązania stateczny, był tutaj wkrótce przed twoim, Matuleńku, powrotem.

KLARYSSA.

Pan Kochański zaś? Ah! kochany mężu! Bóg nam go z nieba spuścił: Już odtąd nie upatruj w nim konkurenta o naszą Córkę, ale poufatego przyjaciela twego. Alboż ci nie miał wielkich obligacyi? Nieznawszy go, wyrwałeś go z rąk nieprzyjacielskich krwią zbroszonego, wszakżeś go gwałtem do obozu zaprowadził razem z Proporcem, co go nie chciał odstępować do samego życia schyłku.

NĘDZARSKI.

Ah! co mi stawiasz na pamięć dzień ten fatalny? gdzie sława moja i więtość tak była publiczna, iako i odmowienie stopnia mnie przyzwoitego i dobrze zasłużonego. Ah! Ah niestety! gdyby mnie nie był potkał ten afront, nie porzuciłbym był aż do grobowcy deski rzemiosła wojennego; ta ręka spólnie z ochotnym sercem ieszczeby się zasługiwała Ojczyźnie; miałbym rangę, gażę, sposób życia do zgonu, Córka nasza miałaby posag... Nie morzylibyśmy się głodem...

KLARYSSA.

Jdźże już do tego przyjaciela twego, oświadczyć mu się z affektem...

NĘDZARSKI.

Toć już zezwolić muszę... Ale nie-
wiem iego mieszkania odtąd, iak razionym
zostawszy, porzucił służbę woenną...

KLARYSSA.

A ty, Córko nie wiesz o nim?

MARYSIA.

Nie wiem, i nie znam tylko, cnoty ie-
go, i ... miłość.

NĘDZARSKI.

Toć już cały świat przysiągł się, na
zgubę naszą!

KLARYSSA.

Ah! co słyszę! Dziecko ięczy i szło-
cha... Ah! co widzę! u Córki łza łzę
pobija!

NĘDZARSKI.

Ah! iakaś mi się fatalność w zmyślach
pomieszanych snuć!

KLARYSSA.

To masz, czegoś szukał w twym upor-
czywym punkcie honoru! Szukay teraz nie-
szczęsny Oycze sposobów dźwignienia się od
ostatniego upadku. Bieś czołem przed tym
bożyszczem, i Familią twoię całą temu po-
święcałeś bałwanowi, niechże cię teraz z tej
toni wybawi.

NĘDZARSKI

Niestety mnie nieszczęśliwemu! O żale
włkroś przenikające!... Odbieram złorzecze-
nia od osoby, która mi na świecie najmil-
sza!

KLARYSSA.

Okrutny tyranie! Y tożto pomyślne
szczęście, któreś mi obiecywał starając się
o mnie, wzamian za czyście moje ku tobie mi-
łości płomienie? Y także na to szczególnie
rozżarzyłeś zapaly miłości, żebyś tym bar-
dziej zahartował to serce? i także uczyni-
łeś mię Matką, żebym się zapatrywała na
dzieci głodem zmorzone i zimnem zmrożone?

NĘDZARSKI.

Ah! - biada mnie!.. Gdybym słuchał te-
raz poduszczenia ostateczney rozpaczey, przy-
szłoby pono...

MARYSIA.

Ah! Tatuleńku kochany! Ah! miła Ma-
tuleńko!

NĘDZARSKI.

Ale dla Boga! gdzież nas porywa ślepa
miłość? O! moje serce! o! moja duszo! O!
towarzyszko serdeczna! Y także między
nas się mają plątać przymowki i wymawia-
nia, iakie więc bywają w gminnych stadłach,
których częstokroć ubóstwo nie pochodzi z
ucisku i krzywdy, ale z gnusności i głupich

zbytków? Y także naszą niedolą uczyniemy nieznosienszą? i przydamy iey większą gorycz wyrzutami iadowitemi (złych ludzi szczególną algą) pod ten czas, kiedy serc sobie przychylnych niestargany związek stać się może iedyną nędzy naszej folgą?

KLARYSSA.

Przebacz, przebacz proszę kochany męzu! w ostatnim stopniu nędzy i żalu postawiona zapomniałam o twoiey niezgryntowanej cności! Silna jest twoja dusza, i cnota iey stanię za wszystko! Wyrzwałbyś niezmrużonym okiem i na śmierć samę nie nie blednieć, byleś ją otrzymał z rąk czci i honoru... Ale płuć moja jest bojaźliwsza niż twoja... Jestem i Niewiaścą i Matką... Ah! co widzę w oczach kochaney Córki!... Znaki bliskiego omdlenia... Ah! nie potrafię daley znosić tey na sercu tyrannii, unierać mi należy pierwey...

NĘDZARSKI.

Ah! pieszczoty serca mego ulubiona Córko! Y czemużeś się rodziła z Rodziców tak nieszczęśliwych! tak od świata całego opuszczonych!

MARYSIA.

Ah niestety! wypuść mię Oycze kochany z pamięci, a tylko myśl o Braciszku,

którego stokroć powtorzone ięki coraz mniej-
szą czynią przywrócenia do zdrowia nadzieję.

NĘDZARSKI.

Słuchaj moje serce! Jeszcze się znay-
dują na świecie cnoty czci godne choć rzad-
ko... Jeszcze można uyrzec serca naszym
podobne! jeszcze spróbujemy, a kołaczmy do
drzwi ulitowania... Jdę... biegnę...

KLARYSSA.

Zostań proszę, mnie należy mieć stara-
nie o pokarm dla dzieci.

NĘDZARSKI.

Nie fatyguy się zaklinam, mnie należy
przysparzać i dom opatrywać potrzeba.

KLARYSSA.

Głos Matki bywa dotkliwszy.

NĘDZARSKI.

Wymowa oycowska miękczy i głaszcze
serca.

KLARYSSA.

Stóy dla Boga, nieznosnie zimna pora
znowu cię nabawi choroby, która cię dopiero
opuściła.

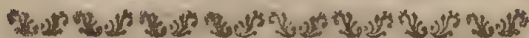
NĘDZARSKI.

Niepozwole żebyś miała wychodzić
o tym czasie: Białogłowa podaie się ró-
żnym przypadkom chodząc po nocy. Nie na-
leży ci odstępować dzieci, których jesteś ie-
dyną pociechą i wsparciem: Podź do łózka

kochanego dziecięcia, ty kochana Córko...
Nie przedłużę z powrotem (*wychodzi.*)

KLARYSSA

O! Boże miłosierny! Oycze i Opiekunie
ubogich! trzymaj go w twej świętey opie-
ce, i racz go utrzymywać przy życiu.... i
przy niewinności. (*odchodzi z Córką.*)



AKT II.

SCENA I.

KLARYSSA y MARYSIA.

KLARYSSA.

Niech sobie spoczywa kochane dziecię!
Miłość ku mnie nie zezwala mu milczeć w
przytomności moiej, a nazbyt osłabiało,
aby mogło utrzymać długą rozmowę...

MARYSIA.

Oh! Matuleńku kochana! iakąż ci mam
wdzięczność, że swą twarzą postawą i
łagodnym ułożeniem nie daiesz Braciszskowi
poznawać, że nam i jemu zbywa na wszy-
tkim. Jakiż gwałt musisz czynić naturze, gdy
mając serce na puł z żalu rozdwoione, nie
pokazujesz tego łagodnością weyrzenia.

KLARYSSA.

Nie niemasz temu trudnego co kocha. Muley się powinnaś dziwować moim postępkom ku synaczkowi niż kto inny. Ty albowiem Córko kochana od dzieciństwa samego nie tylko nie czułaś nigdy wstrętu, patrząc na ubogich żebraków, ale przy usługach o-
nym miłosiernych łączyłaś zawsze ludzkość i łagodność, co cnotom dodaie szacunku; i niech będzie Bóg pochwalony, nie iednego nę-
dzarza hoyną podźwignęłaś ręką.

MARYSIA.

Ah! jeżeli utrata fortuny wycisnęła kiedy gorzkie łzy z moich zrenic, to nie dla czego, tylko przeto, że już daley nie przy-
dzie naśladować przykładów twoich i kocha-
nego Oycy.

KLARYSSA.

Twój Oyciec, można przyznać, że to jest nayuczynnicyszy z ludzi żyjących. Nie byłoby nad nas szczęśliwszych osob, gdyby nie jego charakter duszy nieprzełomany, nie ow surowy statek, z którym wykonywa cno-
tę... Ale go nie widać! Jakże jego odda-
lenie pomnaża moje niespokojności!

MARYSIA.

Dopiero siodma godzina... Jakże czas
zwolna płynie dla tych, co cierpią!.. Jakże

siła czeka nas jeszcze okropnych chwili, niż się pokaże iutrzenka!

KLARYSSA.

Może być, że jutro o tej godzinie już pozbedziemy wszystkiej nędzy i kłopotów tego świata! Przyimie nas w swoje łono ta ziemia która nas niechce żywić dłużej. Prześtaniemy pieścić się wzajemnym kochaniem! Już nam nie przyidzie powtarzać oświadczenia naszych zobopolnych chęci, z życiem ustanie miłość.

MARYSIA.

Niech się dzieie wola Pana Boga; ale Matuleńku, dziś rano, była tu Pani Litośnicka wdowa, przyniosła nam wody, i oświadczała się z swoimi dla nas usługami, iedynie z powodu dobroci serca swóiego.

KLARYSSA.

Pani Litośnicka! Ah nieszczęście! Powracając do domu widziałam, że ją słabą prowadzono, gdyż pośliznęła się i upadła ciężko na gołoledzi, ato w ten czas gdy szła usługiwać nędznym.

MARYSIA.

Fatalność! Takżeto nacyjczęsciey uczynnych i dobroczynnych ludzi nieszczęśliwe potykaiaą przypadki!... Ale ah moją Matuleńku! Przebóg co słyszę!

KLA-

KLARYSSA.

Nadstawmy ucha.

MARYSIA.

Na gwałt dzwonią i bębnią z wielkim
ludzi zgiefkiem.

KLARYSSA.

Ah! podobno pod ten czas, kiedyśmy
się mieli za najnieszczęśliwszych na świecie
ludzi, drudzy równie nieszczęśliwi, daremnych
używają sposobów ocalenia przed wszystko
pożerającym pożarem! Pewnie ich lamenta i
narzekania przenikają obłoki z gęstym dymem,
który ich pożera. Zda mi się, że słyszę
głos Matki... konającey, a wołającey głośno:
Nie mnie ratujecie ale dzieci... dzieci moje!

MARYSIA.

A ja w podobney okoliczności zawoła-
łabym: zaniechajcie mnie, ale ratujcie Matkę.

KLARYSSA.

Czy mąż kochany nie poszedł ratować
te osoby! Są to jego czyny zwykłe! Gdyby
domagał się jakiej za przysługę nagrody, z
tysiąca przysług bliźnim swoim wyświadczo-
nych, ta byłaby pierwsza z nadgodą. Nie-
dola; w której zostaliśmy byłaby wymówką
w osądzeniu serca i ...

MARYSIA.

Jeżeli niedostatek bywa okropny i nie-
znośny, to podług mego zdania przeto, że

człeka czyni niesposobnym do uczynności i
hojności...

SCENA II.

NEDZARSKI, KLARYSSA, MARYSIA.

NEDZARSKI.

(wraca się z pośpiechem i mówi:)

Ah! Zono! ah Córko!

KLARYSSA.

Ah! kochany Mężu! Chwałaż Bogu żeś
mi się powrócił! Dzieci nasze czyż będą mia-
ły czym się pożywić?

NEDZARSKI.

Córko bierz twemi niewinnemi rękami...
te dowody moiej ku wam miłości... Oto
masz czym poratować łaknące dziecię. Oto
macie chleb na pożywienie... Wkrótce poy-
dę szukać nieco drewek do pieca.

MARYSIA.

Naprzód ucałuję te dobroczynne ręce, co
nas żywią, odwilżę je (bo zdrętwiały z zi-
mna) łzami wdzięczności wytryśnionemi.

NEDZARSKI.

Poydźcie, posiłaycie się... Ah siły mnie
odbiegają! nogi się chwieją podemną... *(upa-
da na ziemię.)*

KLARYSSA.

Mężu! kochany Mężu!

NĘDZARSKI.

O! Boże miłosierny! Boże miłościw;
oddaję ci głęboki pokłon. Tyś przenikał serce
moje, gdy ta ręka szukała sposobu odda-
lenia śmierci od dzieci moich mizernych, dwóch
niewinnych dusz... prawo twoje święte kocha-
jących..

KLARYSSA.

Mężu kochany! ah Mężu! i skądże te
ięczenia okropne! Nigdy cię nie widziałam w
takich żalach! Ah przebóg! i cożes złego u-
czył!

NĘDZARSKI.

Puść mnie.. mam przyczynę upaść na
twarz, i błagać Maieſtat Boſki.. Zal ciężki
tak mię zaślepił, że mi się zdał powatpiewać
o jego surowej sprawiedliwości... Ale uzna-
ję, że słusznie mię karze. Należy mi w po-
piele i we łzach pokutować.

KLARYSSA.

Y także śmierci szukasz! Y także chcesz
mnie zostawić w poniewierce? Ah! Boże co
widzę! Pot zimny mięsza mi się ze łzami
(ociera mu oczy) ah! iakże zbledniał, iakże
mizernie wygląda: iakże drży iak liście!
Podnieśże się, bo mię ta poſtać twoja zabija...
i coż miałeś za przypadek? i czegoż się mnie
wystrzegasz?

NĘDZARSKI.

Nigdy ci w życiu nie zataił sekretu... ale mówmy cicho... trzeba się dzieci wystrzegać... Gdym ztąd wyszedł, poszedłem do kilku znaiomych, na rany Chrystusowe zaklinając ich o jakie wspomnienie. Ah! z jaką energią wystawiałem przed ich oczy ostatnią familię moiej nędzy i niedostatek rzeczy do życia potrzebnych! Jakże serce oycowłkie zdobywało się na żywe wyrażenia, na słowa do politowania wzbudzające!.. Wstyd niewczesny, nic nie uiał memu naleganiu... Sto razy wyjawilem imię i urodzenie moje, ale wszystko to na wiatr poszło... Tak właśnie iak gdyby ciężki i nieznośny mroz miękcząc głązy i skały, zakamiał serca ludzi twardolite: iedni mię z urąganiem nazwali filutem, drudzy choć mię poznali, mimo przezsli odwracając oczy, wszyscy mię z ostatnią spotykali wzgardą.

KLARYSSA.

Ah! iakiż z ciebie prostack! udawałeś się do bogatych, alboż tacy wyrozumieć umięią ięzyk serca? Czy mająż oni wnętrzości rodzicielskie? Czyż kochają oni co na świecie, oprócz siebie samych! Trzeba ci było poyść do ubogich Wdówek, do nikczemnych Rzemieślników w pocie czoła na chleb pracujących. Tacy, tacy byli-

by się ostatnią chleba bułką z nami dzielili...
Ale czekam końca, słucham dalecy, lecz strach
mi serce wydziera z piersi.

NĘDZARSKI.

Ah niestety! Spuściwszy oczy na ziemię we łzach tonące, szedłem wolnym bozemdlnym krokiem do domu, abym ci ostatnie ze łkaniem powiedział wale, abym wzięwszy dziatki moje serdecznie kochane na kolana, ich łzy gorzkie a niewinne otarłszy, oddawał one Bogu w opiekę iako czyste ofiary, a ducha wypuścił ostatniego w ucałowaniu ich ust niewinnych... W takich zatopiony myślach zbliżam się do domu, aliści moc iakaś nieznaïoma cofa mnie nazad... padam na wznak i mdleję. W tym obłąkane myśli moje zdają mi się stawiać przed oczy (o Boże! o Zonko kochana!) Córkę naszą z głodu dogorywającą... a dziecko nożem moim w płu pierśsi wbitym zranione ze krwią duszę wylewającą... W tym niewiaŃta iakaś powaŃna zawoła na mnie głoŃsem gromiącym, i od grzmotu hucznieyszym tonem: Jam ieŃt natura. Prawa moie przewyŃszaiaŃ wszystkie inne. Zdawało mi się, Ńe mię ręką swą podŃwignęła z ziemi. W tym skoczę ślepym pędem w ciasną iakaś uliczkę odludną... Ah! czy byłem pod ten czas dobrze ze snu ocucony! Czy

straszydło iakie nieprzyjazne wiodło mnie z
przymusem do...

KLARYSSA.

Ah! co słyszę? Ah! nieszczęśliwy
człecze! i coż daley w tey odludney uliczce?

NĘDZARSKI.

Przechodził tamtędy iakiś starzec z ie-
dnym łokciem.

KLARYSSA.

To pewnieś go o śmierć przyprawił?

NĘDZARSKI *dużo pomieszany*.

Co mówisz? Ja... Ja zaś miałbym być
gwałt czynić prawom natury, które przez ca-
łe życie były prawidłem serca mego?.. Y iaż-
bym ofiarował dzieciom i tobie samey cza-
stkę chleba krwią zbroczonę ludzką?

KLARYSSA.

Zmyślasz... Zachoway sobie twoy se-
kret... Nic iuż więcej słuchać nie chcę...
Nie chcę i słyszeć o tobie daley... Radabym
teraz nienawiść powzięła ku tobie.

NĘDZARSKI.

*(oddala się od niej w ostatnim pomieszaniu
zalamawszy ręce.)*

Ah! Nieszczęty!

KLARYSSA.

Ale co słyszę? słyszę kilka osób po-
wschodach ku nam idących.. Ah mężu! ko-

łacą do nas, a ty się wzdrygasz, i drzysz.
ze strachu? Coż to znaczy?

NĘDZARSKI (*cicho*.)

Idź Zono do komory, zamknij się z
dziećmi.

KLARYSSA.

Lękam się dużo, co to będzie dalej?

NĘDZARSKI (*cicho*.)

Lękaj się tylko przypomnieć pierwszy
raz w życiu powinności cnotliwej żony.

KLARYSSA.

Ah dla Boga! mocniej kołacą. Mezu
moy kochany! i czegoż kto może żądać tak
pożno od ludzi nieszczęśliwych, śmierci
tylko czekających?

NĘDZARSKI (*cicho*.)

Byłem rano u jednego poczciwego dłu-
żnika liczną familią obciążonego, więc nie
zezwoilem, aby go z uciskiem przymuszano
do oddania summy; snąc ten widząc nagłą
moję potrzebę, przybył do oddania długu
według danego słowa... Czy dosćże ci na
tym?

KLARYSSA.

(*Mocniej kołacą*)

Ah! dla Boga! jakieś mam przecucie,
że...

NĘDZARSKI.

Y także pierwszy raz w życiu kapry-
som się podajesz?.. Y także woli moiej
pierwszy raz się sprzeciwiasz? Zamknij się
w alkierzu z dziećmi, proszę, obaczemy się
wkrótce, i dość czasu będziesz miała do
połaiania.

KLARYSSA.

Ah! iakże to nieznośna dla mnie przy-
mowka! Ta nastroiona iego spokojność do-
zadumienia mię i do lękania pobudza. (*od-
chodzi, a w tym NędzarSKI otwiera.*)

S C E N A III.

*Instygator z czterema Żołnierzami, o krok za-
niemi pochodnię.*

NĘDZARSKI.

Czego żądacie?

INSTYGATOR.

Nie będę W. M. Pana zaprzętał pyta-
niami obojętnymi i zawilemi, którym się u-
rażać zwykli ludzie W. M. Panu podobni,
u którego na czele wyczytać można cnotę i
pocziwość.

NĘDZARSKI.

Pomińmy te pochwały, zewnętrzna po-
stać nie popłaca u mnie, a cnota u mnie w
sercu nie na twarzy...

INSTYGATOR.

Owoż o to gra idzie... Gwałt, uczyniono w tym momencie pewnemu Szlachcicowi iednego słuźalca za sobą mającemu.... Ten odstąpiwszy Pana szedł za złoczyńcą, gdzie się obróci...

NĘDZARSKI.

Dość na tym. Ja jestem ten złoczyńca.

INSTYGATOR Y ZOLNIERZE

razem wszyscy.

Co zaś W. M. Pan? ... Czyż to podobna?

NĘDZARSKI.

Ja, nie inaczej.

INSTYGATOR.

Dziwnie mię to zasmuca i czuję.. Trzeba nam tu w każdy kąt zayrzeć.... Zołnierze! nu ieno ruszcie się!

NĘDZARSKI *zmięszany dużo.*

Stoycie przebóg!... Ten alkierz w samey rzeczy zawiera skarby wielkie rzadkiego szacunku, i do których większe mam niż do życia przywiązanie! Jest to Matka... nieskończoney cnoty towarzyszka moja, i dwoie dzieci wszystkiemi przymiotami przyozdobione, które passyami kochać muszę, a byłyby z ostatney mizeryi pomarły, gdybym był z niebezpieństwem własnym ich nie posilił... Czyż ludzkość sama nie wzbudzi w

sercach waszych politowania nad tą familią niewinną a tak nieszczęśliwą (*Zołnierze się wzbudzaiać do litości i ręce załamują, oręże na stronę oddaliwszy:*) Czyż chcielibyście paftwić się nademną i kaydanami obciążać w oczach żony i dzieci, a tym widowiskiem o śmierć ich przyprowadzić? (*Instygator ręce załamui.*) Ah! iakież narzekania sztyletem by przeniknęły serce moje! iakbyto był na mnie ciężki taran duszę z piersi wydzieraiący! O moje dzieci kochane! iakiż was koniec czeka? O! żono naysmilsza! Na coż ci wychodzi ścisły małżeństwa węzeł serce twe rozweselaący! Ah! i takież odemnie cnot twoich nadgroda!

1. ZOŁNIERZ.

Ażaż cię nie przenikają te słowa?

2. ZOŁNIERZ.

Czyż można nie bydź wzruszonym do politowania?

3. ZOŁNIERZ.

Pierwszy raz przychodzi mi w życiu łzy gorzkie wylewać z litości.

INSTYGATOR.

Domyślam się panowie. Ja w waszych, a wy w moich oczach równie wyczytnie dziwne pomieszanie! Czeką nas zobopolnie funkcyi, strata, jeżeli się kto z nas odezwie z propozycyą uwolnienia tego ięgomości. Ah!

ieżeli
zwykl
tortur
niem
tura n
czyż

By
oskarż
rzeteln
ieśli t
ka m
stał w
milia n
ostatni
ohn. (

▼▼▼

mi...
szczę s

jeżeli wy, coście już zahartowali serca, i
zwykliście niezmrużonym okiem patrzeć na
tortury złoczyńców, czuiecie się politowa-
niem dotkniętymi, znać że niewinność ina-
tara na gwałt ostatecznego dobywają głosu. A
czyż na ten głos przypadać nie mamy?

NĘDZARSKI.

Bynaimniey. Jabym się sam kiedykolwiek
oskarżył, bo do śmierci samey szukam bydlę-
rzetelnym i prawdomownym. Podźmy... a
jesli tli się jeszcze w sercach waszych iskier-
ka miłości bliźniego, zwolna i cichuteńko
stąd wynieśmy się, żeby moja opłakana fa-
milia nie mogła przez tę noc domyslać się
ostatecznego zawzietey na mnie fortuny zama-
chu (*cicho sam za sobą drzwi zamyka.*)



AKT III.

SCENA I.

KLARYSSA i MARYSIA.

KLARYSSA.

Co! Przebóg! wyszedł mój mąż z nie-
mi... Poydę za nim, dogonię go, nie pu-
szczę się go na krok jeden. Ah! ah! (*spie-*

sząc pada na schody, i słuchać iey upadek,)
 Ah! Boże miłosierny! ah! Marysiu! ah! ah!
 kochana córko! (*jękliwym głosem.*)

MARYSIA.

Ah! nieestety! co widzę! wróć się panie oycze! ratuj moję matkę.

KLARYSSA.

Skwapliwość moja za nim w biegu prędkim, przyprawiła mię o ten upadek.

MARYSIA.

(*podnosi Klarysse, i dzwigając prowadzi do stołka przy lampie.*)

Ah! matulenku! czy nie masz iakiey rany?

KLARYSSA.

Sama nie wiem, śmierć mi w oczach stoi! wszystkie bole opanowały mi serce! gdyby mi żyłki wyparano, nie czułabym więcej.

MARYSIA.

Ah przebóg! iakże me serce żal dręczy!

KLARYSSA.

Już więcej o sobie nie myślę! ale iak sądzisz? gdzie się obrócić twoy oyciec?

MARYSIA.

Jako dobroć iego ku nam iest nieskończona, sądze, że poszedł szukać drewek, iak nam obiecał.

KLARYSSA.

Day Boże!... Ale nie śmiem sobie o-
biecywać.

MARYSIA.

Ah! dla Boga! mroz co raz bardziej
nas przenika, i srodze dręczy... łzy z oczu
płynące zlodowaciały mi na twarzy! a ręce
twoje matuleńku, ręce dobrotliwe o iakże po-
drętwiały! o iakże skościały! (*burze ręce
matki, chucha w nie i szuka rozegrzać parą
uś i całowaniem.*)

KLARYSSA.

Ktoś nadszedł. Otworz drzwi co pręd-
zej. Ah! może...

SCENA II.

Też same i STARUSZKIEWICZ.

*Ogląda wszystkie kąty i widząc ściany o-
gotowane bez żadnych ruchomości mówi.*

O ludzkości święta! rodzicielko, pod-
poro, delicye ludzi żyjących! któregożes cza-
su, i w której krainie była bardziej zanied-
bana? Nieszczęśliwa familio! iako widzę po-
dupadłaś do szczętu, iako i inne com ie do-
piero zwiedziła.

KLARYSSA.

A to co Mci Panie! ani lody śliskie upadkiem grożące, ani cienie zapadłej nocy, ani trudy i niewczasy staia się hamulcem porywczey W. M. Pana w podźwignieniu nędznych litości.

STARUSZKIEWICZ.

Owszem mogłabyś mię W. M. Pani sfrować, zem ia od 5. dni nie nawiedził, ależ to wina nie serca, lecz zdrowia mego. Nieftety! w tym to wieku moim zgrzybiałym cznie człowiek, że każdy moment staie się życia uyma... Atoli wszystko się kończyć musi... Y same nawet głązy starość niszczy, i nie masz nic nieśmiertelnego oprócz iedney cnoty.

KLARYSSA.

Nader szczęśliwi tacy, których ta cnota nie odstąpiła na tym padole płaczu i ugdzy... Jeżeli przeciwności zapamiętałych ludzi do prawidła cnoty pod czas przywodzą, to ostatnia ich nędza od niey też czasem odwiedze:

STARUSZKIEWICZ.

Mam tego oczywisty dowod z trafunku, który mię w tym punkcie potkał... Niośle do was i do innych w nieszczęściu podobnym utyskuiących cząstkę moiego ubożego majątku. Bo czyliż można lepiej obró-

cie t
by,
cieszy
cił. U
dlona
rzone
mowa

pie,
pohań
lem p
ności
lęm,
Ludzi
nayba
ści, k
Codzi
pocz
staie
się,
gwałt
nazby
się ob
iaki
Wzgar
śladów

cić to, co nami zbywa z nieodbitey potrzeby, iak taką przysługą serce niedźnych pocieszyć? Aliści człek iakiś nagle mię chwycił. Uważałem, że miał postać chorobą zemdloną, i oczy alteracją ponieszaną, powtórzone ięki i stękania gwałtowne mowę mu tamowały....

MARYSIA.

Jaka bezbożność!

STARUSZKIEWICZ.

Powoli moja śliczna panienko! nie wątpię, że równie usta twoje nie są skłonne do pohańbienia, iak serce do nienawiści... Wielem przeżył! wskrós zwykłym geniusz i skłonności ludzi przenikać, i uważam z ciężkim żalem, że wstecz przeistoczyli ustawy natury. Ludzie cnotliwi, co się ustrzegli tej zarazy, naybardziej podpadaia stosom nieszczęśliwości, któreby powinny bydz karą bezbożnych. Codziennie widzimy, że człowiek dobry, poczciwy, drogo opłaca swoją rzetelność, i staie się ofiarą swojej sumiennosci... Trafi się, że podupadnie, że zachoruje, że go gwałtowne potka nieszczęście, iako się aż nazbyt często przytrafia, tedy nie wie gdzie się obrócić, aby wyżebrał takie przyflugi, iakie sam wszystkim bliźnim wyświadczał. Wzgarda od swych krewnych, przyjacioł, sąsiadów naywiększą dla niego bywa męczarnią;

chcąc iey uniknąć, tai się i ukrywa, a tak bywa zagrzebiony w swych niedostatkach. W tym głód mu się da we znaki, rozum go odstępuje, zmysły mu się pomieszają, uda się do rozpacz, i przyidzie do tego, że ręka iego stanie się złoczyńcy podobną, choć ieszcze serce cnotliwe... Tak mi się widzi, że ten o którym mówiłem, człowiek w podobnym znajduie się stanie. Imaginuy sobie W. M. Pani, że potkawszy o dwa kroki odemnie niewiałą iakaś starą płaczącą z głodu, dał iey częśćkę tych, które mi wydarł chlebów na poratowanie (iako iey powiedział,) głodem zemdlonych dzieci swoich; i tę częśćkę nad potrzebę swoją zbywającą (iako iey rzekł,) że bez tego na nią trafienia, miał był wolą oddać mi nazad... O! iakże ta niewiała błogosławiła owego człeka! Day Boże! żeby to było ze skutkiem, którego on godzien

MARYSIA.

Jakże mię żal bierze tych dzieci, które pokarmu dostały przez zbrodnią. Co ia tobym wołała/umierać z głodu.

STARUSZKIEWICZ.

Pięknie bardzo!... Masz tu W. M. Pani córkę której sentymenta są wcale wspaniałe. Godna i miłości i uszanowania. Skarb znajdzie, komu się dostanie w dożywotnią przy-

przyiaźń... Adieu moje Państwo, tak odle-
gła ztąd moja stancya, że muszę się gwałtem
oderwać od tey rozmowy, w którey panuje
cnota, abym wam też prędzey przyniosł co
do wiktua i pożywienia....

SCENA III.

Ciż sami, i KOCHANSKI nadchodzi.

STARUSZKIEWICZ.

Co widzę! moy syn kochany.

KOCHANSKI.

Ah! Oycze łaskawy, ponieważ cie spo-
tykam w tym domu, już mi wszystko wia-
domo, już nie tajno. Przylaciel moy
w ubóstwie... Familia jego w niedostatku...

(Klaryssa i Marysia pomieszczone zdumiewają się.)

STARUSZKIEWICZ.

Pisałeś do mnie synu, żeś dopiero miał
stanać za tydzień.

KOCHANSKI.

Prawda Oycze dobrośliwy, ale pewną o-
koliczność wymagała tu bytności moiej na
dzień intrzeyszy. Do tego serce mi podało
ten fortel, żebym cie tatula znienacka przy-
witał nieoczekiwanie; iakoż byłem w stancyi,

D

ale cię nie zaślą. Atoli na dobre wyszło, gdy cię tu zaślą w kompanii moiej ulubionej kochanki, ku której razem oświadczam głęboki respekt, miłość i dozgonne przywiązanie. Ah! Ojczy serdecznie kochany! przypomniy sobie, że ci tysiąc razy wspominał o paniencie w cnotach niezliczonych wydoskonaloney, i takie, żeś poczytał, za rzecz do wiary niepodobną. Otoż to mowiłem o tej Marysi, którą tu masz przed oczyma swemi. *Marysiu!* passyami kochana Marysiu! racz się przyłożyć ze mną z prośbą do nóg Ojca, aby nam podał rękę do dozgonnego szczęścia naszego. Jest to przykład dobrych rodziców, iako ty jesteś wzorem cnotliwych panienek.

KLARYSSA.

Panie Kochański, już ci więcej nie można zataić sekretu. Nieszczęśliwe przypadki, ubóstwo ośtatnie, a co jeszcze dotkliwszego, wstyd sromotny rozłargnęły wszelkie wiezy między W. M. Panem i familią przyjaciela W. M. Pana. Równość urodzenia przynajmniej wymaga iakiejkolwiek proporcji, a nam na wszystkim zbywa, i wszystkie co tylko bydz mogą, ogarnęły nas nieszczęśliwości. Biada! są jeszcze i inne przyczyny, które W. M. Pana oddalonym bydz przymuszają od moiej córki, a skoro się dowiesz

W. M.
bez p

so! c

siebie

który

znasz
ta - ie
mi,
zale
dzie,

łość
dla te
jów c
bywa
twoje
obadw
stawie
wą i p
która
trzeba

W. M. Pan, wzdrygnąć mu się przydzie; a bez pomocy.

KOCHANSKI.

Ah! nielitościwa na serce moje Klarysso! coż mi to powiadasz?

KLARYSSA.

Każę ustąpić córce do alkierza, i sama do siebie cicho mówi.

Alboż po oddaleniu iey zbędę ciężaru, który mię tłoczy,

KOCHANSKI.

Ah! Oycze dobrotliwy! ty najlepiey znasz wszystkę dotkliwość duszy moiej, bo ta jest twoiej edukacyi skutkiem, pozwól mi, żebym na łonie twoim wylał ciężkie żale i łzy gorzkie... śmiercią przypłacić przydzie, jeżeli mi odmowiona będzie Marysia.

STARUSZKIĘWICZ.

Synu kochany, iakże mię ta twa miłość (co ci jest męczarnią,) dręczy! nie dla tego to mówię, żebym surowy obyczajów cenzor, iako więc w wieku podeszłym bywa, przymuszał cię do odstąpienia wcale twoiej skłonności. Jednego jesteśmy zdania obadwa, że świat nie ma sowitszego błogosławieństwa Bożkiego, nad białogłową cnotliwą i pięknych obyczajów, iaka jest Marysia, która twe zniewoliła serce; atoli uważać trzeba, że świat ma swoje prawa, swoje ma-

zjemy i zwyczajem, iż ubóstwo i niedostatek
na swoje nieprzyzwoitości. Powinieneś sy-
nu mieć wzgląd na familią, utrzymywać przy-
stojność twego urzędu, a wiesz dobrze, że
się już wyzuł z bogactw.

KOCHANSKI.

Ah! Oycze kochany! nie uważaj tych
lekko myślnych korzyści, co mydlą oczy lu-
dziom pospolitym i gminnym duszom, a wy-
ciśkają politowanie u ludzi poczciwych. Wsza-
kęś mię oycze sam nauczył, abym ie miał
w pogardzie. Co do urzędu mego, ten nie
wymaga zbytków i pompy. Wszakże ciebie
samego czei godny oycze, niemniej czezą i
szanują ludzie, chociaż potrzebom nędznych
i podupałych oddał w ofierze fortunę twoją,
zamiast co inni łożą na cugi, na łowy, na
ekwipaże, na przepyszne pałace i kosztowne
ruchomości, chcą cię i w tey cnocie naśla-
dować Oycze cnotliwy; ośmielę się tak po-
miarkowaną kontentować się kuchnią, iaką
jest twoja bez zbytków, bez stołowników
podchlebnych, ale uczciwość, skłonność do
dobroczynności i zgoda zawsze u mego mie-
ścić się będą stołu, i iak na straży otoczą
Marysię. Opływać będę w radości i serca
delicye. Nienastannie myśleć sobie będę, nie-
ustannie mówić będę Marysieńce, mówić be-
dę i przyjaciółom: miłości ku mnie kocha-

nego,
nem
czaie
ukon
się z

mi, l
we v
wuię
pami
pnoś
chan
nie
wkie
lił o
nie.
rzały
go u
któr
życi
niey
niu,
to u
leca
Pań

iaki

tego, a wzajemnie kochającego Oycę winienem życie moje, winienem chwalebne obyczaje moje, winienem pomyślność zupełną i ukontentowanie życia. Ah! Oycze! iżaliż się zawiodę na tey nadziei?

STARUSZKIEWICZ.

Takimi iakie opowiadasz sentymentami, każdy syn (mówić się może,) czci siwe włosy Oycę swego. Temi wyrazami sprawujesz, że zgrzybiały Ojciec puszcza w niepamięć i dolegliwości starego wieku, i okropność zbliżającej się śmierci. Ah! moje kochane dziecko! wiesz sam lepiej, żem nigdy nie użył zwierzchności nad tobą oycowskiej, tylko abym od serca twego oddał dwoiaką poczwargę: niecnotę i zasmucenie. Wszystkie moje myśli iednostaynie zmierzają do szczególnego końca twego zupełnego ukontentowania. Oświadczasz mi drogę, która cię doprowadzić może do szczęścia w życiu pomyślnym, pozwalam tedy, abyś do niej zniерzał, ale po dojrzałym roztrząśnieniu, i po wydźwignieniu z tey złey toni, tey to uczciwey familii, którey nie trzeba mi tu zalecać twoiey szczodroблиwości. Adieu moje Państwo, (zaświeca latarkę w lampie.)

KOCHANSEI.

Ah! Oycze! Oycze nayukochańszy! i iakichże słów zażyć mi przyjdzie na wyrażenie

nie nieskończoney moiej wdzięczności. (*reco
mu całnie i nogi ściśka*)

STARUSZKIEWICZ.

Puść mię synu... śpieszno mi wziąć na
examen słuźalca mego należy, co mię odstą-
pił, gdy mię atakowano na ulicy.....

S C E N A IV.

KLARYSSA, KOCHANSKI.

KLARYSSA (*cicho*)

Słuźalec go odstąpił!... a moy mąż nie
wraca się..... O! Boże! i ktoż mi doniesie,
co się z nim dzieie!.. (*głośno*) Mei Panie Ko-
chański, ach! w iakiey zaftaiesz nas porze!

KOCHANSKI.

Ah dla Boga! co takiego się dzieie!
W. M. Pani z nędzy wracasz się do doftatków,
a tym bardziey utyskiwania wznawiasz?.....
Coż to znaczą te słowa oyca mego, że go
miano atakować na ulicy?... Czy iest ci
wiadomy iego przypadek?... Y czemuż docze-
kać się nie mogę przyiaciela mego? i coż
mu się stało?... gdzież się bawi oddalony od
W. M. Pani małżonek nad wszystko ią ko-
chający? Ah! co widzę! łzy leiesz kocha-
na Pani.....

KLARYSSA.

Posłuchayże W. M. Pan. Ale nie.. serce zwierza ci się sekretu.... ale ufta wzdrygaia się od wyiawienia.. ah! iakąż czuję przeciwność w sobie! Córko i iakże się wiedzie z braciszkiem twoim?

MARYSIA.

Ah! nieftety! odrzuca pokarm niby truciznę... Nudzi sobą... łyzy toczy. (odchodzi.)

KLARYSSA.

Jakżem nieszczęśliwa matka! strach mnie ogarnia!... Staie mi ow noż na pół w wnętrzości wrażony... Ah! iakieś mam przeczucie, że stracę synaczka! (*staie bez ruszenia się z rękami do nieba podniesionemi.*)

KOCHANSKI.

Ah! mocny Boże! Y także dzień dzisiejszy jest dniem twego gniewu? Nic nie widzę tylko obiektu okropne i trwogę wzbudzające. Tylko co tu stawam i do nóg kochanki upadam, widzę ją dużo pomięszaną, i iakaś tajemnicę przedemną zachowującą.... Wyszędłszy ztąd napotykam z iedney strony obywatelów życie przed pożarem ognia nagłym ledwie ratujących, z drugiey strony dwoie dzieci nagie na ulicy, które tęgi mroz o śmierć przyprawił.... Spieszę tu serce mając ściśnione, i rozum niepomyślnem zaprzą-

tniony przecuciem, i spotykam iakiegoś winowaycę do więzienia prowadzonego.

KLARYSSA (przychodzi do siebie.)

Winowaycę mówisz W. M. Pan? i coż to był za człowiek?

KOCHANSKI

Ah! kochana pani! i jestże potemu czas użalać się nad niedolą cudzą, kiedy W. M. Pani czujesz dolegliwości własne domowe?

KLARYSSA

Mam w tym przyczynę.. koniecznie chcę wiedzieć, co to był za człowiek.

KOCHANSKI

Y za coż się W. M. Pani tak bardzo za nim interessujesz? raczey idźmy poratować iey synaczka.

KLARYSSA

Czy wiesz W. M. Pan przynajmniey o co był obwiniony?

KOCHANSKI

Tylkom te słowa słyszał od iednego z żołnierzy.... Pożal się Boże! o to szło tylko, że chciał od śmierci wybawić swą działwę. Pospolstwo co się zbiegło, a zwłaszcza niewiały wielkim krzykiem trwogę buntu czyniącym poczęły wołać: daycie mu pokoy, puście go wolno, dla poratowania dzieci to uczyni!... Szemrano opś, że iakiś starzec.

KLARYSSA.

Ah! co słyszę! już wątpić nie mogę, że to był mąż mój.

KOCHANSKI.

Ah! co słyszę! o Boże! mój przyjaciel kochany? ah! jakież moje nieszczęście!

KLARYSSA.

A ow starzec to był twój Oyciec. Ah córko! mizerna córko!... Twój Oyciec wiecznie przepadł.

MARYSIA.

Ah! ah matuleńku!

KLARYSSA.

Zgubił się marnie, aby nas pokarmem ratował.

MARYSIA.

Ah oycze!... Ah oycze!... Ah tatuleńku kochany!

KOCHANSKI.

Jakże fatalna moja podróż! jakże niepomyślny powrót! i czemuż dałem przynajmniej jednym nie uprzedziłem te przypadki nieszczęśliwe.

KLARYSSA.

Ah mężu!

MARYSIA.

Ah oycze!

KOCHANSKI.

Ah przyjacielu!

wszyscy
razem.

KOCHANSKI.

Ah Marysiu! ah Klarysso! gdyby był
jaki pocieszenia w tym przypadku sposob....

KLARYSSA.

Nie szukam, ani przyjmuję żadnego po-
cieszenia. Tracę nieskończenie kochanego mę-
ża. Podobno przydzie utracić, i wewnętrzno-
ści moje dzieci nieporównanie kochane.....
Tracę męża, ale jakim hańbiącym sposobem!
Ah! tak jestem zawstydzoną i pomieszana,
żebym się raczy chciała ukryć i utaić w
podziemnych lochach (*odchodzi.*)

SCENA V.

MARYSIA Y KOCHANSKI.

MARYSIA.

Y także nie przywrócisz mi mizernego
Oyca Boże Wszechmogący!.. Y także mi Oy-
ca nie przywrócicie Sędziowie namiestnicy spra-
wiedliwości, opiekunowie ubogich!

KOCHANSKI.

Mam przed oczyma wizerunek cnoty
prześladowania znoszący! śliczna a smutna
Marysiu, mieszay twoje łkania z memi łka-
mi; nie lękay się powierzyć i poruczyć tym
rękom. Niestety! tym rękom, co miały się

otwierać do uściskania cię z czystej miłości,
a nie do dzwignienia w uściskach z litości.

MARYSIA.

Ah! ledwie żyję! tohu mi nie staie... du-
sza mię odbiega..... śmierć mi zaziera w o-
czy. (omdlewając.)

KOCHANSKI.

Nigdy me serce nie było ku niey tak
nachylone! iakże nadobna chociaż zemdlona!
Marysiu!... Marysiu... kochana Marysiu! i nie
otworzyszże oczu? kochanko moja, arcyko-
chana Marysienko!

MARYSIA.

Jakieś słodkie pienia odzywiają mi się
w sercu! (spojrzy na Kochańskiego z zadu-
mieniem.) Ah iakże bolesne odeckienie! Ma-
rzyło mi się, żem spoczywała na łonie oy-
ca, a ia na łonie kochanka, na którego iuż
patrzeć nie godzi mi się.

KOCHANSKI.

Co mówisz Marysiu? to serce, które
całe sobą napełniasz, czy może knuć krzy-
woprzysięstwa? Izaliż Kochański puści w
niepanię przysięgi, przeto że na Marysię
wszytkie nieszczęścia spadły?.... Niechby mię
wprzód.....

MARYSIA (przerwywając.)

Słyszałeś W. M. Pan co rzekła matka!
Ja nie przeciwnego iey woli nie słucham. Idź

W. M. Pan do domu, i oycę swego uszczęśliwiay swą bytnością.... Mnie należy ięczyć nad przypadkiem mego bez świadka.... Idź kochany panie Kochański... Jeżeli ieszcze masz iskierkę iaką miłości, ku mnie, to nawiedź jutro ubogą matkę przed świtanie.

KOCHANSKI.

Jutro... Dzień iutrzeyszy będzie dniem w życiu całym moim nayokropnieyszym... Jutro przed świtanie nie pomyślę o tobie moja Panno bez wstętu! ah! nieestety! jutro stanę się w oczach twoich nayniewdzięcznieyszym i naynienawistnieyszym!

MARYSIA.

Ah okrutniku! i tyżes ważył się być delatorem tej sprawy?

KOCHANSKI.

Bynaymniey Marysiu. Nazbyt szanuję życie ludzkie, i dałby Bóg, aby Oyczyzna moja naśladowała pewnego narodu, u którego nigdy krew ludzka nie bywa wylana na placu śmierci.

MARYSIA.

Prawda można łaskawość wyczytać na twoim czele, i serce twoie jest iey świątnicą, i zawsze będzie.. ale coż ma zazwiazek dzień iutrzeyszy z moją ile ku tobie nienawiścią?

KOCHANSKI.

Y iestze to w mocy ludzkiej dać odpor takiej pokusie? ah Marysiu! uznasz, że moje nieszczęście równa się wcale twoiemu. Jutro jedno ze dwóch: albo odstąpię sprawiedliwości, mego urzędu, moiej czci, sławy i moiej przysięgi, albo oycę twego na karę osądzić muszę, gdyż iestem jego sędzią.

MARYSIA.

Ty zaś sędzią mego oycę?

KOCHANSKI.

Mogłbym się unknąć od tego sądu. Y podsędek mogłby zadosyć uczynić tey funkcyi surowey, lecz potrzebney; ale któż ma prawo dyspensować mię, abym nie był sprawiedliwym przysięgę zachowującym? któż ma prawo uwolnić urzędnika na publiczney funkcyi będącego, od wykonania swego urzędu? Wojownik fortecy dobywający czy może się cofnąć dla uniknienia pewney życia utraty? powinności sędziowskie izaliż podpadaia odmianie różnych przypadków? Y także temu ma służyć tytuł wspaniały oycę ludu, opiekuna obywatelów, który się im nie używa, tylko w rzeczach łatwych, miłych i swym interessom przygodnych? Jakaż będzie różnica między takim sędzią, a między winowaycą, który nie zasłużył na karę, tylko przeto, że szedł za powodem namiętno-

ści, że nie dał odporu chuciom, że nie szedł prosta, ale krzywą drogą za cnoty prawidłem? Tak jest nie inaczej; prawy sędzia sprawiedliwości opiekun, ma być podobnym do słonecznego światła południowego, ma mieć oko na całe plemię ludzkie, wszystkim żyjącym ma dodawać czy promieni czy cienia, ożywiać, czy palić, orzeźwiać, czy niszczyć i gubić. Co mówię gubić? kogo, kogo zaś gubić? ah! com pomyślił nieszczęśliwy człowiek! czy mamże wzgląd, i rozważam ofiarę, która się gotuje pod miecz sądowy!

MARYSIA.
Zadziwienia moje równają się żalom moim... Y także Kochański dekretować będzie najlepszego na świecie przyjaciela swego?

KOCHANSKI.
O przyjaźni święte imię! węzle poświęcony dusz wspaniałych, węzle tak memu sercu upodobany! ah! iakiż gwałt uczynię naturze, jeżeli mię ścisła powinność prze-
może!

MARYSIA.
Y iakże spojrzysz w sądowej izbie bez wstępu suchym okiem i czołem surowym na tego nieszczęśliwego człowieka? któregoś nigdy nie spotykał bez radości okazania, bez uściskania i ucałowania? i coż ci on powie na usprawiedliwienie swoje? Powie

głose
zy
słow
łem w
wsze
kiedy
roba
moie
do u
litow
dow
ka, i
żem
słow
Mus
ny s
re w
będa
kret
oyca
cnot.

twoi
iakże

kied
oczy

głosem mężnym i słodkim, który ci tyle razy był żywą do cnot pobudką, powie ci te słowa: byłem pożyteczny bliżnim moim, byłem wiernym Królowi i Ojczyźnie mojej, zawsze miałem wstręt i ochydzienie zbrodni wszelkiej, stałem się ubogim ale nie podłym, choroba odjęła mi sposoby życia, i osłabiła siły moje, familii mojej schodziło na wszystkim do utrzymania życia, daremnie wzywałem politowania krewnych, pomocy przyjaciół i sąsiadów, natura podała mi rozpacz za przewodnika, i tak stałem się winowaycą, przeto tylko, że nie mogłem przestać być oycem... Na te słowa iakąż będzie twoją odpowiedź?... *Musisz dać gardło pod miecz?* Ah! kochany serdecznie Kochański! te łzy krwawe, które wylewam w twej przytomności, płynąć będą obficie, a płynące zatrą i zagluzują dekret twój feralny, a tak wrócą mi kochanego oycę, tobie przyjaciela, światu zaś całemu cnotliwego obywatela.

KOCHANSKI.

O płu niewieścia! iakżeś powabna! iakże twoja wymowa i dzielna i miła!... Ale ah! iakże i razem niebezpieczna!

MARYSIA (*pada do nóg jego.*)

Nie wspomnę ci tu, że był ten czas, kiedy ci zachował życie, nie wyrzucę ci na oczy serdecznych wzdychań twoich, ani zwy-

cięstwa nad sercem moim słodką niewolą zho-
dowanym... Szczególna dobroć natury i ser-
ca wspaniałość, powinna wymodz od łaskawe-
go przy sprawiedliwości sędziego to, na co
człowiek gminny i pospolity dałby się nakło-
nić przez podłość namietności..

KOCHANSKI.

Wstań już proszę. Tyranko serca mo-
iego... ginę dla ciebie.

MARYSIA.

Ah! maszże ty tyle serca, abyś mógł
strofować ięki i żale córki ze strachu omdle-
wającej? tey córki, którą oyciec nadrukochał!
Ten głos, który się z piersi moich dobywa, jest
to głos samey natury, a życia nie godzi się każ-
dy, co tego głosu ani wydaie, ani go sły-
szec chce.

KOCHANSKI.

Owoż twoy oyciec kochany znajdzie u
mnie wzgląd.... Ah! cożem chciał wyrzec!
Marysiu! masz wszelkie powody żalów two-
ich: osoby nieszczęśliwe mogą się upoka-
rzać przed sędziami swemi, ale takie pro-
śby i wysłuchania onych podłym czynią ka-
żdego sędziego. (*rzuca worek z pieniędzmi
i nagle odchodzi.*)

MARYSIA.

Miłyż Boże! i także ucieka odemnie nie-
wdzięcznik! i czegoż się mam spodziewać po
tey

tey ucieczce ! i coż on zamyśla ? co chce uczynić ? . . Wszystko dobrze uczyni. Zmiękczy się na widok cnotliwego a nieszczęśliwego człowieka, i w tey okoliczności nachyli nie- iako praw świętey sprawiedliwości dla praw ieszcze znakomitszych, bo samey natury i ludzkości wrodzoney... Kochański zbawicielem będzie mego oycy ! ah ! iakaż to dla niego chluba w oczach Marysi ! Już miłość osoby iego wszystkie przewyższyła sentymen- ta moje, ah ! czemuż nie mam ieszcze drugiego serca, żebym mu i to w zupełną odda- ła ofiarę ?

SCENA VI.

KLARYSSA Y MARYSIA.

KLARYSSA.

Przybyway Marysia ! Przybyway co prędzey.

MARYSIA.

Ah moja matulenku ! gdybyś wiedzia- ła,.... Kochański...

KLARYSSA.

Kochański ieszcze nie jest naszym, więc nie masz co o nim myśleć, kiedy twoy bra- ciszek w ostatnim życia schyłku.

E

MARYSIA.

O Boże! mój braciszek! i takżeby przyszło postradać braciszka?

KLARYSSA.

Ale coż mu powiemy? Napiera się koniecznie pożegnać z oycem. Ustawicznie i nientulenie woła: Proście do mnie tatula, niech go uściskam i ucałuję, niż umrę. O! synaczku kochany, nie samemu ci umierać przyidzie. (*odchodzi.*)

AKT IV.

SCENA I.

KLARYSSA y MARYSIA.

KLARYSSA (*zaptakana.*)

Ah Marysiu! Marysiu! i na coż mi się naprzykrzasz? i gdzież mię prowadzisz? Y jestże iaki na świecie kącik, żeby mię w nim odstąpić miały żale i troski?

MARYSIA.

O nader. nieszczęśliwa matko! zmiłuj się sama nad sobą, a podź za mną.

KLARYSSA.

Niech jeszcze uyrzę syna mego, kochanego synaczka mego, jedynaczka mego!

MARYSIA.

Y coż ci za upodobanie paść oczy martwym jego ciałem?

KLARYSSA.

Serce jego sercem moim okryję.. Przywrócę mu dech taniem moim i iaką gorącej miłości ilkierką! Jeszcze oczęta obeyrzą się miłuchnie ku mnie... Obaczy mię i pozna, i uweseli strapioną matkę... Ta matka zanurzy ostatni raz chciwe spojrzenia w duszy jego, wychodzącej...

MARYSIA.

Usta twoje matko tak często kleione z ustami dziecięcia, izaliż ją przyięły w wyściu! Y iestże rzecz podobna ożywić ciało w godzinę po śmierci? gdyby to była rzecz podobna, któreżby dziecko umarło na łonie macierzyńskim? któryżby przyjaciel umarł w uściskaniu przyjaciela? Moja kochana matuleńku, zaniechay tych korowodów w uściskaniach twoich równo z ięceniem twoim. Wszakżeż uznała członki ciała jego już okrzepłe i serce bez pulsu.

KLARYSSA.

Trafia się często ludziom, że odstępia choroba ostatnią złożonych, choć jeszcze nie

wcale umarłych, i że ci umieraia przez niedodanie posiłków... Tak jest, synaczek mój kochany jeszcze dycha... Co mówię! oto słyszę, że żąda uyrzeć oycę... Oycę? a on gdzie teraz? i za coż zniknął z oczu naszych? ah biada! domyślam się, Marysiu, rozpacz i głód wprawiają mię w iakąś waryacyę! Już że nie mam synaczka? czuję tę sratę przez wfret ku temu okropnemu miejscu, od którego odwracać przychodzi mi ze smutkiem oczy... Czuję tę sratę przez łzy, które toczysz.

MARYSIA.

Gdybyż przynajmniej twoje bieg wolny miały. Ale widzę, że nie; wszystkie żale twe matuleńku widzę skupione w duszy... Ah! iakże mię nie cieszy to przyduszenie i ta pozorna spokoyność! iakże się lękam o twoje zdrowie! ah! w iakążbym poszła pówniewierkę nieszczęsna sierota!

KLARYSSA.

Prawda, wszystek smutek opanował serce moje, w nim się coraz trwoga wzmaga i natęża, czuję ból nieznośny. Ah córko moja! siły mię ustaia. (omdliwa.)

MARYSIA.

Matuleńka rzuca się w ręce moje, a ia sama ledwie się trzymam na nogach, ah naturo! naturo! natęż mi siły, odwadze moiej wy-

równywnające! Boże opiekunie sierot przy-
 bądź, przybądź mi na pomoc! Ah lampa
 zgasła! Jakaż ciemność... Jakaż okropność...
 Y kiedyż noc ustąpi! Kiedyż się utrapienia
 nasze!... (*Tu wielkie się staie milczenie przer-
 wane iękami i stękaniami okropnemi. W tym
 ktoś kołace do drzwi.*)

SCENA II.

Też same i STARUSZKIEWICZ *z latarką,*

STARUSZKIEWICZ (*sam do siebie.*)

Próżno kołacę... i nikt nie przychodzi.
 Lampa snąć zgasła... grube ciemności. Mil-
 czenie okropne. Coś upatruję przy gołej
 ścianie. Ręce przeplatane gołe snąć z zimną
 drżące; ale obaczmy lepiej!

KLARYSSA (*niby ze snu ocucaiąca się.*)

Córko moja, widziszli cień oycy twego?

STARUSZKIEWICZ.

Klarysso! Marysiu! obaczcie się, co-
 fniycie odchodzące zmysły. Zycie Nędzarzki,
 dopiero go widział, dopiero z nim o was
 rozmawiał.

KLARYSSA.

Jeszcze ledwie świta kochany nasz Do-
 brodzieiu, a już się W. M. Pan udałeś do tego

tu domu, domu płaczu i ięczenia? O dobroczynny i godny nieśmiertelney wdzięczności sierot opiekunie! coż się dzieie z moim mężem? co czyni w okropnym tarasie nayszczęśliwszy a oraz nayszczęśliwszy obywatel?

STARUSZKIEWIČZ.

Oto W. M. Pani sam donosi (oddaje List.)

MARYSIA.

List od mego Ojca! Ah! niech go, stokroć uczuję:

KLARYSSA.

Patrz Córkó! że ieszcze wilgotny od łez przez niego wylanych.

MARYSIA.

O! nayukochańsza Matuleńku! gdybym śmiała... aby był głośnie czytany... Zdałoby mi się słyszeć głos jego, ten to głos tak mi miły, tak wdzięczny.

KLARYSSA (czyta, a Staruszkiewicz się odwraca.)

„Pan Bog patrzy na serce moje i jego, „skrytości, a to serce dotąd bez zmazy... „żadna go bojaźń nie trwoży, żaden go sumnienia robak nie gryzie“ (sama sobie przerywa:) Ten ci to iest Trybunał wewnętrzny w nas samych, o którym nie wiedzą Sądy powszechnie (czyta:) „Jdę pod sąd nieśmiertelnego Sędziego, ale z wielką ufnością,

„że mię lepiej osadzi Bóg Sędzia naywyż-
szy... Jdę z wyznaniem samey prawdy, idę
z poddaniem się dobrowolnym prawom
„Oczyfytym, idę na śmierć“.

MARYSIA.

Ah! iakie tyranstwo! łudzić mię próżną
nadzieją (to wyrzekłszy twarz zastania far-
tuchem, a Klaryssa czytanie kontynnuie przery-
wając iękami.)

KLARYSSA.

„Jdę na śmierć (czyta) nieodbity iest
los mego nieszczęścia. Oddaie ci ostatnie
pozdrawienie, przyimiy ostatnie uściskanie,
i moim imieniem pożegnay syna i córkę na-
szę“ (na to słowo (Córkę) Marysia pocznie
ryczeć z żalu zawsze zastoniona. Klaryssa
chce list dalej czytać, ale każde iey słowo iest
przerwane wzdychaniem i ięczeniem. „Niech
twoja ręka otrze łzy z oczu naszych ubogich
dzieci. Powtarzay im codziennie, że ich
Oyciec życia postradał dla zachowania zdro-
wia swoim dziatkom i z Matką!... że życie
iego było bez nagany i winy dobrowolney...
Ze zamianą za hańbę swey śmierci, zosta-
wue im pobudkę do cnoty. Niech się nie
trapią tą hańbą, miniemaniem tylko podłe-
go gminu za taką poczytaną... Uczciwość
obyczaiow i sentymenta ludzkości staną się
im tytułem Szlachectwa, a takie szczególnie

„zaszczyca i nie może być nigdy zhańbione...
„Adieu, adieu ostatni raz na zawsze“. (*Mat-
ka. Córka w ostatnim pomieszczeniu stoi jak
wryte.*)

STARUSZKIEWICZ.

O mocny Boże! porachowałeś dni wie-
ku mego, niech mi będzie umniejszona ich
liczba, wesołym okiem przyjmę nowinę o
dniu wieku mego ostatnim, byłem utrzymał
przy życiu pocziwego obywatela, a rozwe-
selił nieśkończenie zasmuconą jego familią!

KLARYSSA.

Ah! jeszcze W. M. Panu niewiadome
wszystkie mojego smutku przyczyny. Podż
W. M. Pan za mną, a przyłoż plaster na-
nę serca nieszczęśliwej Rodzicielki.

STARUSZKIEWICZ.

Ah! co widzę! i także śmierć okropna
syna, łączy się z hańbą śmierci Oycy?

KLARYSSA.

Z hańbą zaś? Śmierć syna już zgłu-
zowała hańbę Oycy. Synaczek mój umierając
najlepiej usprawiedliwia obwinionego Oycy.
Ah! niechże przynajmniej otrzyma urodze-
niu swemu przyzwoity pogrzeb! Ale co mo-
wię! Nic się nie dzieje bez pieniędzy! tyl-
ko sama cnota nie przynosi zysku.

STARUSZKIEWICZ.

Serce mi podaie pewny sposob, który się nam udać może. Podź W. M. Pani ze mną, karetą, którą tu zatrzymałem, u bramy nas czeka. Proszę z sobą.

KLARYSSA.

A czyż mogę oczom ludzkim pokazać się tak, iak wyglądam?

STARUSZKIEWICZ.

W. M. Pani postać właśnie jest przyzwolita prośbom ulitowania wyciągającym. Pospolicie ludzie w honorach i dostatkach opływający, bywają nielitościwi i pogardzający, przytomność człeka nieszczęśliwego wstręt im i odrażenie czyni; atoli znajdując się i tacy (ale przyznam się, że ich bardzo mało) którzy nie słyszą utrapionych ięku, żeby sami z użalenia ięczyć nie mieli; których każde cudze nieszczęście przeraża wkrós i dolega, w których sercu każdy utracony znajduje pomoc i pociechę. Takim cię osobom zalecić myślę, a zatym pani racz żale pokroić.

MARYSIA.

Matuleńku! porzucasz mnie samą, i ktoż mnie poratuje, od oczu twoich oddaloną?

KLARYSSA.

Nadzieia... Nadzieia przywitania się z Oycem.

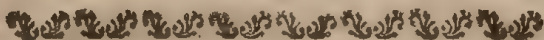
STARUSZKIEWICZ.

Nie bawmy proszę, każdy moment przyspieszający wydzwignienie człowieka ze złoty, jest kosztowniejszy nierównie nad wszystkie skarby i kruszce złota. Stanie się co W. M. Pani, żadasz.

KLARYSSA.

Pod ten właśnie czas, iak męża mego prowadzić będą na plac, racz Panie kochany sporządzić exportacyą ciała syna: Niech żalobna processya okropnemi pochodniami otoczona, zaftanowi prowadzenie na plac feralny w kaydanach Oyca. Niech się ten Oyciec od natury zbuntowaney ocucony wzdrygnie, niech do samego Nieba śle narzekania, tym głosem niech będą przerażeni kaci i oprawcy, a w pomieszanie wprawieni spektatorowie; Zgoła niech cały świat będzie w zadumieniu!... Ale ah! co mówię nieszczęśliwa! Y coż ci się z tego zawiąże? Mąż twoy iednak umrzeć musi! Ah! szukaymy raczey sposobów jego ocalenia. Córkko kochana! z żalem się z tobą na krótki czas rozstaie, uściskay mię i ucaluy; iedno pocałowanie ust twoich niewinnych bardziey me siły pokrzepia, niż pokarm i odpoczynek, bo iaz nie żyię tylko tobą i dla ciebie.

gro
bra
sze
czu
ima
cisz
odfi
bra
ustk
cał
nia
tak
byk
ie?
wid
iuz
sza
żał
dni



AKT V.

SCENA I.

MARYSIA (*sama.*)

Okropna samotności! stanieszże mi się grobem? Moje ukontentowanie z rodziców i braciszka przeszłe, moje utrapienia terażniejsze, i gorzkie przypadków przyszłych prze-czuwania, mieszaia się gwałtownie w smutney imaginacyi. Ostratni kres życia moiego braciszka, nabawił mię okropnością, która mię odstąpić niechce (*zbliża się powoli do łóżka brata swego*) Miłyż Boże! iakże wygląda! ustka iego, otwarte, które tylekroć z łodką całowałam pociechą. Ah! strach mię ogarnia i serce przenika. O śmierci! śmierci! i także to czynisz obrzydliwym, co w życiu było najmiłszym?... Coż się przebieg dzie-je? i także brat siostrze staie się okropnym widokiem? Ależ niestety! iuż go nie masz... iuż dusza iego, z ciała wyszła, za którą du-sza moja z piersi się wydiera przez wielkość żalu i affektu!... O miłości! którey winnam dni życia mego nayweselsze, a może i samo

życie, iuż nie stawiaj więcej przeciw memu przedsięwzięciu swoich powabów! Wyobrażenie kochania równie z poszanowaniem godne, wyobrażenie kochanka mego (*patrzy wzdychając na portrecik w pierścionku*) nieszcześliwego... nie przynosi pomieszania sercu temu strapiionemu, co iuż nie czuie, ani czuć pragnie, tylko to co winno naturze. O! arcykochani rodzice! wam siebie polecam: o Boże, dobrodliwy! którego iedynie kocham, nie poczytaj mi za grzech, że przymknąć pragnę kilka momentami przedzey termin moy życia, iuż i tak tylu dolegliwościami przybliżony. (*omdliwa.*)

SCENA II.

MARYSIA Y KOCHANSKI (*w żałobie.*)

KOCHANSKI.

Stoy przebog! obacz się! miłość niech doda sił słabości

MARYSIA.

Co widzę? o Boże! w żałobie! coż to te zwłoki okropne znaczą? Oyciec moy...

KOCHANSKI.

Ah niefortety! jest...

MARYSIA.

Na śmierć dekretowany ! i uleż śmierci musi ! i tyż to mi tę nowinę ogłaszasz ? ty mi się śmiesz stawiać przed oczyma ? Amancie niewdzięczny ! Przyjacielu okrutny ! krzywoprzysięzco wiarołomny !...

KOCHANSKI.

Ah ! ja nieszczęśliwy ! niewiem gdzie się obracam. Uczyniłem sobie gwałt prawie nadprzyrodzony... rozum mi się miesza... Tysiączne niespokojności serce mi burzą... Czuję miłości zapęły w sercu, ale nadziei ochłody nie widzę, owszem się lękam nienawiści... Życie nie mogę bez Marysi, a Marysia patrzeć na mnie nie może bez zaiętrzenia serca. Wykonałem uczynek, który sprawuje wstępną mi samemu. Gdyby się już nie było stało, znowuby na nowe powtórzyć przyszło dekret podobny, a z tym wszystkim tak mi żal, że go wydał, iakbym popełnił nacyięszą zbrodnię. Między ludźmi przynosi mi ten postępek chwałę sprawiedliwości, ale głos wewnętrzny strókanego serca, srogością go nazywa... O iakże dalekie są miary mniemania ludzkiego od własnych każdego sentymentów ! Ah przyjacielu !... przyjacielu kochany ! którego równo z duszą kocham, z życiem miłuję, tego o strata życia przy-

prawiać (*mięsza się mocno i prawie od rozumu odchodzi.*)

MARYSIA.

Y od kogoż okrutniku! pragniesz odzyskać tego przyjaciela?

KOCHANSKI.

Od nieba, od całego ziemi okręgu, od ciebie, co jednym słowem mogłas odwrócić ostatnią nędzę, która nas teraz zgubiła. Ani mi się tu wymawiaj moją nieprzytomnością, bo długo przed wyjazdem moim domyślałem się o ostatnim fortuny waszcy upadku; wszakżem o tym natrącał, napomykał, wszakżem się nieraz z politowaniem i ochotą ratowania was oświadczał, ofiary przysług moich czynił, ale twoy wstyd w tym razie nie potrzebny, twoja nierozsądna skromność, i niewczesna delikatność, którey urazić obawiałem się, zawsze intencyom moim stawała na przeszkodzie, żem nie mógł onych skutkiem wypełnić.

MARYSIA.

Przyznam się, teraz dopiero nad przepaścią otwieram oczy... Nie powinnam się była poczytać za niewinną... Y teraz żem była kary godną... ale jeszcze nie wszystkie moje przywary są tobie wiadome... Wymaga odemnie ta twoja poufałość, abym ci ka-
prysy tu moje wyiawiła.

KOCHANSKI.

Y coż mi nowego powiesz?

MARYSIA.

Powiem ci o nieskończonych zbrodniach moich... Miłość opanowała to serce, gdy się nam opak fortuna stawiała... W stroiu zwyczajnym bez zaciągnioney od powabów pomocy, bałam się mniej miłą stać memu kochankowi... Ale się dużo myliłam. Miłość iego ku mnie była czytą i nie interesowaną... W tym trwająca mniemaniu nie zastanawiałam się myślą tylko nad przyszłym moim szczęściem; iego attencye, iego cnoty, stawały mi za największą fortunę, za nayokazalsze horory, i gdy rodzice moi co raz dążyli do ostatniey nędzy, mnie samey (słuchay a wzdrygniesz się patrząc na taki tak dziwny natury potwor) mnie samey mowie zdawało się pod ten czas, gdy się ostatnia Familii moiey i zguba i hańba przybliżała, że miłość... miłość statecznie w tym sercu panująca, zastąpi wszystkie straty, i szkody nadgrodzi.

KOCHANSKI.

Y takąż to iest niewieścia zemsta? razem i karać i powaby czynić? Ah Marysiu! Marysiu!

MARYSIA.

Jeszcze to nie wszystko... Niewdzięczniku! głodem znużona, żalem i gorzkością napełniona, życiem sobie skróciła, i co tu słyszysz, co ci na pół rozrywa serce i łzy wyciska z oczu, to wszystko twym dziełem jest okrutniku! to wszystko robotą twego kochania, które mię przytrzymaie poniewolnie jeszcze przy życiu.

KOCHANSKI.

Pada iey do nóg, z żalu ryczy, i te tylko na sobie słowa wymusza:

Ah Marysiu! Marysiu! jedyne moje kochanie Marysiu! nie dręcz mi serca dłużej.

MARYSIA.

Już to nie ta co była Marysia, nie znała ona przedtym tak ścisłej poufałości, wystrzegąca się sam na sam rozmów, posiedzenia; boiaźń panieńska była iey stróżem, a wstyd i skromność załogą. Tu zaś widzisz pannę od rozumu prawie odchodzącą, która w ostatnim nawet życia schyłku, zapędem miłości ku tobie się unosi, i z tym ogniem dogorywa, który przez cały wiek życia swego chciała mieć w sercu dla ciebie niewygasły... Widzisz tu kochankę hołdującą sercu twemu, która wzywa twego politowania.. Ah! pokaż mi się tak wspaniałym, iako iestem dla ciebie przychylną... Odbierz odemnie to mo-
ie ko-

że kochanie... wyzwól serce moje z więzow mi-
łości... Wyrzucay mi na oczy wstydy tey o-
statniey podłości, abym padła w oczach two-
ich, iako ofiara padać przed temi zwykła,
na których ubłaganie iest wyznaczona.

KOCHANSKI.

Ja zaś miałbym zrywać tak słodki i tak
uszcześliwiający mię przyjaźni węzeł? Wę-
zeł skrępowany przez tak długie i naytęższe
statku twego próby?... Nie myślę bynajmniey o
tym. Cnota zadzierzgnęła ten węzeł, cno-
ta go i umocnić potrafi... Rodzice już ze-
zwolili, i powtorzyć swoje zezwolenie goto-
wi... Podłych to tylko amantów interesso-
wane serca rozprzegać zwykły niedostatek, ale
nie nasze bez interessu wierne, bez wzglę-
dów przychylne, i wzajemnością stateczną so-
bie zniewolone... Ah! ieżeli fałszywe moich
ziomków mniemania czy omamienia raczey
zdrowego rozsądku, sprzeciwiać się będą mo-
jemu przedsięwzięciu; ieżeli zważanie mego
stanu, opierać się będzie lubemu z tobą zie-
dnoczeniu się Marysiu! znałome mi są naro-
dy, u których w zawieraniu ślubnych zwią-
zków, nie nie przynosi wstydu, tylko sama
niecnota, złe, nieprzyzwoite postępy życia,
i zelżonego panieństwa sromota; toć w tam-
tych krajach, w tamtych narodach swobo-
dnieszego szukać będziem dla siebie umie-

szczenia. Klaryssa zechce nam dopomóc kompanii; Twój zaś braciszek znajdzie w twym przyszłym oblubieńcu miłość zupełną oycą.

MARYSIA.

Ah dla Boga! albow nie wiesz, że ten mój Braciszek już nie żyje, stawszy się najpierwszą głodu naszego i niedostatku ofiarą?

KOCHANSKI.

Ah co słyszę! ah iakiż żal ciężki czuję! i także nayukochańsze rodzicom dziecko, nędzy ich i niedostatku żalosną uledz musiało ofiarą?... Żalosna śmierć zaiste, ale przyczyna śmierci żałośniejsza... Żyło w ubóstwie i opłakaney doli, zeszło z nędzy i niedostatku, tak dobre, tak cnotliwe dziecko, niechże przynajmniej kosztownie po śmierci spoczywa... Nie inaczej; niż bowiem mi przyjdzie porzucić Ojczyznę, wspaniałą zwłokom jego na wieczną pamiątkę wystawię nagrobek, na którym oycowie inni żal Oycy twego, równie na sercu jego, iak na kamieniu grobowym wryty, a nie mniey i usprawiedliwienie jego postępków czytać będą, a czytając, z żalem nie mniejszym niedolę jego opłakiwać, i rzęsistemi łzami gład ten smutny oblewać będą.

łaczy
pamię
żni.

demni
szcze,
widze
pną to
która
odemn
polito

miłość
moin
teczny
szczęś
znovu
ranie
Ah M
mną o
zezwo
ra do

MARYSIA.

Niechże tedy ten twój nagrobek po-
łączy razem i siostrę z bratem, niech będzie
pamiętnym dowodem miłości wraz i przyja-
źni. Jdź już wspaniała duszo! oddal się o-
demnie nieszczęśliwej, która jeżeli tchnę ie-
szcze, to twoim szczególnie tchnę ożywiona
widzeniem... Zegnam cię raz ostatni, okro-
pna rozstania naszego przybliża się chwila,
która mi z piersi serce wydziera... oddal się
odemnie... samo ten obowiązek na cię kładzie
poliowanie.

KOCHANSKI.

Ah! iakież czuję w sobie niepokój; ztąd
miłość, zowad zaś rozpacz burzliwe w sercu
moim rozruchy nieci... Tu mi się zdaie sta-
tecznym wzajemney miłości oświadczeniem u-
szczęśliwienia mego Marysia szukać: a tu
znowu niewczesnym żalów iakichś respoście-
raniem serce mi raniąc, zgubić mię usiłuje.
Ah Marysiu! gdybyś się mogła na takie ze
mną odważyć rozstanie! azalibyś też mogła
zezwoić na odstąpienie kochaney Matki, któ-
ra do ciebie ręce wyciąga?

SCENA III.

Ciż sami i KLARYSSA.

KLARYSSA.

Ah! Córko kochana! A ty nieszczęśliwy przyjacielu! czy przystoi ci znaydować się w tym domu? (*Kochański dużo pomieszał, ny odchodzi.*)

MARYSIA.

Y coż się dzieie z mym Oycem kochanym?

KLARYSSA.

Bodaybyś nie utraciła z nim razem i Matki! niefety! iedna mię w życiu utrzymywała ieszcze nadzieia, a ta iuż odstąpiła.

MARYSIA.

Y także Pan Staruszkiewicz rzeczy tylko na pozor udawał, i oczy nam mydlił?

KLARYSSA.

Nie czyni mu tej krzywdy Marysiu! Cołwiek nam obiecywał, z dobrego serca obiecywał; każdy ktokolwiek ma serce ludzkości i politowania pełne, a nie mniefy do uczynności skłonne, nie może pojąć, aby się mieli znaydować na świecie ludzie nie użyć i niemilosierni. Król nasz (rzekł mi) ma wewnątrzności do ulitowania otwarte nad cu-

dzym
szczę
iaki O
Na t
łam
dwora
na wi
ubogo
w ro
bę m
podł
szę.
kiedy
dłam
dzie
Ale c
i cię
oczy
łam z
gi pe
szyła
omdle
dzie i
kami
ruszki
się W
knał

dzim nieszczęściem, każdego z poddanych uszczęśliwić pragnie, których nie tak jest Panem, jak Oycem łaskawym, Oycem dobrotliwym... Na ten ogłos prawie powszechny, ośmieliłam się poyść na pałac. Za zwyczaj na dworach pańskich, zadziwienie się dworzan na widok osoby iakiey żalem napełnionej i ubogo odzianej, zdaie się okazywać, że oni w rokoszy i wygody opływający, taką osobę mają za dzikie iakieś stworzenie, albo za podłą i odmiennego od swoiey gatunku duszę. Cożkolwiek bądź, uyrzałam przecież kiedyżkolwiek tego dobrotliwego Pana, padłam mu iak długa do nóg, usiłowałam wzbudzić w nim nad niedołą moją politowanie. Ale czyż można mówić w żalach nieznosnych i ciężkiej boiaźni? sądziłam, że podniosłszy oczy we łzach tonące ku twarzy iego, miałam zmiękczyć serce... Alieć twarz iego powagi pełna, trwogę iakąś wielką we mnie wzruszyła, żal mię zatym nieukoiony ogarnął, i omdleć na mieyscu przyszło. A tu mię ludzie iacyś natychmiał porwą, i trzeźwić wódkami poczną. W tym nasz opiekun P. Staruszkiewicz szepnie mi do ucha ozięble: wróć się W. M. Pani do Córki, i to rzekłszy; zniagnał mi z oczu w ciżbie.

KOCHANSKI.

Co mi W. M. Pani mówisz? postępek ten dworcki nie szykuje się do szczerości Oycamego.

KLARYSSA.

Uyrzał snadź na czołe Króla surowość, którey wymaga święta sprawiedliwość na przeciw zbrodniom. Uyrzał wzgardę i śmieszki Panów i dworzan, a taki widok czyż nie miał przydusić podniety w nim ludzkości? czyż nie miał przeto zawstydzić się swojego politowania? wyrzee się, nakoniec swojej nad nami opieki?

KOCHANSKI.

To bydz nie może, Oyciec mój daleki jest od tych kroków, nie jest podobny do takich postępków... Ale oto i sam przybywa.

SCENA IV.

Ciż sami i STARUSZKIEWICZ.

STARUSZKIEWICZ.

Moy syn w żałobie! a po kimże to?

KOCHANSKI.

Po moim przyłaciełu. Serce moje nie zwykło się stosować do zdań pospolitych umysłów, w wynurzeniu swoich sentymentów.

z przeto idzie swoją drogą; wzgardziłem
mniemaniem pospolitym iakieysię infamii złą-
czoney z spowinowaceniem się z córką wino-
waycy poczytanego za złoczyńcę, ani to czy-
nię dla pozyskania pyszney w tym wieku wiel-
kiego Filozofa wziętości... Cnoto! wszech-
mocna Cnoto! co serce moje z sercem Ma-
rysi łączysz, ty sama góruiesz, ty sama mię
wynosisz nad ludzkie mniemania podłe, i lu-
dzkości przyrodzoney uwłaczające!... Ah
Oycze nayukochańszy! zawsze ci była Mary-
sia miłą! dopieroż teraz w ostatnim stopniu
nieszczęśliwości będąc, większych po tobie
z dobroci serca wygląda względów.

STARUSZKIEWICZ.

Ah Synu! kochany Synu! uściskay Oy-
ca, który się nad tobą i twym postępkiem
zdumiewa. Nie mogę nie pochwalić twego za-
mysłu, pewien będąc, że przez skutek iego
przy pomocy Boskiey, między ziomkami sła-
wy nie utracisz... Ale nie bawmy się tym
teraz, z interessowniejszą przychodzić ia tu
nowiną, która całą tę familią, iak i nas ich
przyjacioł niewymowną napełni radością. Oto
Król nasz litościwy równie iak sprawiedliwy,
mocą sobie pozwoloną, darował P. Nędzar-
tkiemu wszelką karę dekretem przepisaną.

KLARYSSA.
Ah! co słyszę! Jestże to prawda M.
Panie Staruszkiewicz?

STARUSZKIEWICZ.

Jstną jest prawdą, wszak ja zwodzić nie
tumiem. Uczynił Król tę łaskę z powodów
następujących: Ze ów gwałt uczyniony był od
człowieka ostatnią przyciśnionego potrzebą,
gdy już dzieci jego i żona z głodu miały u-
mierać. Wziął tylko trzy bochenki chleba;
i to z tych które dla niego i innych w niedo-
statku będących niesiono, a i z tych zaraz ie-
dnym się podzielił, ofiarując go zgłodniałym
z dziećmi niewieście. Ze ten któremu gwałt
i napaść uczyniono, urazy swej ustąpił, i
sprawy tej popierać nie chciał, lubo po za-
padłym dopiero dekrete dowiedział się, iż
mniemanym winowaycą był Pan NędzarSKI.
Instygator tylko publiczny z powinności swo-
jej żądał sądu, i nalegał, iż podług zada-
wnionego zwyczaju, wszelki gwałt publicznie
uczyniony, śmiercią karany bydz powinien;
i na tym fundamencie dekret prawnie był wy-
dany. Atoli na prośbę całego ludu i z przy-
czyn poprzedzających dekret przez Króla u-
chylony, Pan NędzarSKI za niewinnego uzna-
ny, do czci i sławy przywrócony. Spiesz
już do domu swego, aby przytomnością swo-

ią strapioną pocieszył familią.... Przybływa
co prędzey, przybływa kochany Panie Nę-
dzarki!

SCENA V. Y OSTATNIA.

Wszyscy Aktorowie mówią razem wesoło.

Ah Oycze moy pożąday! Ah moy
Mężu! Ah Córko iedyna pociecho moia! Ah
serce moje nieoszacowane! Ah przyjacielu
nieporównany!

STARUSZKIEWICZ.

W toni ostatnich nieszczęść i w żalach
ciężkich zanurzona Familio! ogląday już z
radością Pana swego, wolności, czci i sławie
przywróconego... a wiedz o tym, że go
Król Pan nasz odtąd w swą bierze protekcya.
Pan ten z przyrodzenia swego łaskawy i do-
brotliwy łez swych utrzymać nie mógł, gdym
mu nieszczęścia wasze wszystkie przekładał.

Wszyscy razem.

Ah! iaka odmiana! ah iakież uszczęśli-
wienie! niechże go Bóg błogosławi.

STARUSZKIEWICZ.

Nigdym w życiu moim takiego nieczu-
łkowania!... Wszyscy łzami się za-
lewaia, łzy te iednak z radości serca płynąc,
nie smutek ale wesołość, nie gorzkość ale

słodycz każdemu przynoszą. Lecz oto i syn
moy płacze.

NĘDZARSKI.

Daymy już pokoy łzom tym radosnym.
Chwila tak szczęśliwa, iaka nam niespodzia-
nie na dniu dzisieyszym zajaśniała, cieszyć
się zupełnie każe bez łez przymieszania... Ra-
czej naypierwsze dzięki oddaymy Bogu, któ-
ry nas, z utrapienia ciężkiego oswobodził, a
potym Dobrodzieiowi naszemu, sprawcy na-
szego po Bogu szczęścia, opiekunowi i łas-
kawcy. *(tu wszyscy przed nim na kolana
padają.)*

KLARYSSA.

Nogi ci Panie całować, łzami one oble-
wać z niewymowney radości, patrzeć na
ciebie iak na Anioła z Nieba zesłanego będę!
ale ah! iakże i te wyrażenia słabe nayczul-
szej naszej ku tobie wdzięczności!

STARUSZKIEWICZ.

Wstyd mi czynicie Państwo moje, tym
waszym ze mną postępowaniem oczom moim
niezwyczajnym: przebog! powstańcie z zie-
mi. Nicem nad to nie uczynił, tylko coby
każdy mógł uczynić, i co czynić w takim
razie powinien. Wszakże to rzecz przyro-
dzeniu ludzkiemu istotna, podać w nieszcze-
ściu rękę, ratować upadłego... Czyż może
bydź lepsza za przysługę komu nadgroda,

jak ukontentowanie serca, które każdy czuje, ktokolwiek chciał, mógł, i potrafił w czym się bliżniemu swemu przysłużyć!

KOCHANSKI (do Nędzarzkiego.)

Ty zaś przyjacielu, kochany! czy zechcesz naśladować Oycę mego, najmiłszego dobroci, który łaskawie zezwala na złączenie się moje z pieśczętą serca mego Marysią? czy zechcesz równym zezwolenia z swojej strony skutkiem, żądz moich miarę i szczęścia dopełnić?

NĘDZARSKI

Poczekaj Synu! a coż powiedzą uszczypliwych ludzi języki, wiedzących dobrze moje uciski i twój ze mną postępek? Zapewne wszyscy nagania ci te zamysły, złączają się z nimi podobni zdaniem przyjaciele twoi, spikną się kolligaci, i swemi kształtnemi uwagami, pozornemi pęśwazami osłabia twoje do nas przywiązanie. W ten czas ty będziesz sobie słodził swobodne życie, i będziesz mi mocno dziękował za tę radę, wybiwszy sobie tę miłość z myśli, której cię teraz słodkie powaby łechcą... Poczekaj kochany Panie Kochański, jeżeli czasu pora, i ludzka namowa, czy też cenzura, nieodmieni serca twego, przyrzekam, że ci dam chętnie Córkę za towarzyszkę dożywotnią, i poczytam się nader szczęśliwym, żem ci po tylu nieszcze-

ściach, troskach i kłopotach powierzył w depozyt do zgony przyjaźni osobę w życiu moim nayukochańszą.

KOCHANSKI.

Jakże mnie tą swoją mową trąpisz kochany Przyjacielu, i szczęście moje wraz z życiem trącisz, gdy mi tak przykrą radę podajesz! rady ja serca własnego słucham, któremu ani zdania ludzkie częstokroć mylne, ani cenzury żadne praw przepisywać mocy nie mają.

STARUSZKIEWICZ.

Nie frasuj się mój synu, w ten dzień życia mego nayweselszy. Potrafię ja w to, że ci się zbliży ten prędko moment, który cię zupełnie uszczęśliwić zdoła... Tym czasem Mój Panie Nędzarski racz się do domu mego przenieść z całą swoją Familią.

NĘDZARSKI.

Przepraszam, nie wszystko się tu jeszcze znajdzie (*chcę pójść uściskać synka, ale go Klaryssa zatrzymuje, w tym drzwi na pół otwarte dają mu widzieć trumnę. Po krótkiej pauzie zadumienia*). Ah! iakżeś nieużyte dla mnie Niebo! życie mi na zawsze goryczą napełniasz przez utratę iedynaka... Ah Zono! kochana Zono! iakże krótką dla mnie ta nagle radość kończy się chwilą!

STARUSZKIEWICZ.

Trzeba cię przyjacielu oderwać od tego widoku. Synu gwałtem zaprowadź przyjaciela twego do domu, za którym dobrowolne tamże oblubienica twoja poniesie kroki. A zaś W. M. Pani czci godna Klarysso! zezwol uczynić mi tę pociechę, którą na schyłku dni moich chętnie oglądać pragnę.

MARYSIA.

O Boże! o cuda twojej Opatrzności? uwolnienie Ojca od śmierci: opieka dobroczynna Teścia: zupełny serca mego: z sercem kochanka związek, zgoła wszystko razem w oczemgnieniu. Przebóg! czy to tylko za sen poczytać nie przyjdzie!

KLARYSSA.

O dobroci wielu serc ludzkich! i czemuż nie w wszystkich sercach powszechnie panujesz? Niesprawiedliwość, bezprawia, gwałty, uciski, uciążliwości, ustatyłyby od plemienia ludzkiego za twoim panowaniem, ustatyłyby krwawe wojny, i za niemi idące gniewu Bożego plagi.

KONIEC.



PRZYPISKI EDYTORA

Pod niebytność Autora 1768 Roku.

I.

Obraz ten nędzy ludzkiej dotkliwie wydaie
 Autora serce, z pisma poznać obyczaje:
 Poznać i rękę, która byż dwakroć powinna
 Uczczona: że uczona jest i dobroczynna.

II.

Ktokolwiek do liłości skłonne czuie serce,
 Nie może mieć ten Obraz nędzy w poniewierce
 Chybaby nieużytym i nieczułym razem
 Zgoła był malowanym człkiem, ni obrazem

III.

Jle ludzi, obrazów tyle jest na świecie,
 Wszak człek każdy na obraz jest Boski stwo-
 rzony!
 Ktokolwiek nędzę ludzką widzi w tym portrecie,
 Nad obrazem bliźniego swego niewzruszony,
 Jlekoć to więc czyni, Boski tyle razy
 Obraz w sobie zacięra, a nie bez obrazu.

J. B. Minasowicz Kap. Kat. Kijow.

mp.

